

W numerze: I tak się zaczęło... Dalej zaczyna się Hiszpania... Przy pół czarnej z twórcą filmowego „Faraona” Uwaga, Czesi Bezgłośna broń
Recenzje Felietony Polonica



odgłosy



Nr 3 (359)
24. I. 1965
10 stron
Cena 1 zł

10840-A

TYGODNIK

ROK VIII

19. I. 1945 - 19. I. 1965

ŁÓDŹ WOLNA!



Błyskawiczna ofensywa wojsk I Frontu Białoruskiego, która przyniosła wolność Łodzi, udaremniła dzieło masowego zniszczenia, precyzyjnie przygotowywane przez Oberkommando der Wehrmacht. Do Łodzi wkroczyły pierwsze oddziały Armii Czerwonej i Wojska Polskiego. Tuż za głównymi siłami wojsk wjechali do oswobodzonego miasta dziennikarze polscy, wysłannicy prasy lubelskiej. Już następnego dnia po wyzwoleniu Łodzi lubelski „GŁOS LUDU” donosił w artykule „ROBOTNICZA ŁÓDŹ WYZWOLONA”:

„Polski proletariusz nie miał i nie ma duszy niewolnika. Godzono w niego zaciekłe, ale nie zabito w nim ducha. Dziś spadły z niego kajdany niewoli, powrozy z rąk i kneble z ust. Dziś masy robotnicze wyległy entuzjastycznie na ulicę i witają odrodzoną Polskę”.

Niebawem czytelnicy „Głosu Ludu” mieli sposobność zapoznać się z relacją pierwszego dnia wolności Łodzi:

„Do Łodzi przybyliśmy w sobotę wieczorem. Nie sposób opisać to, co się tu dzieje. Byłem w Lublinie podczas wkroczenia Armii Czerwonej i Wojska Polskiego, byłem w takim samym momencie na Pradze. Ale tak powszechny entuzjazm spontanicznie zrodzony, z jakim witała Łódź Czerwoną Armię, może tylko wykrzesać stolica polskiego proletariatu – Łódź. Rażdy dom wywiesił flagi biało-czerwone i czerwone. Opowiadali mi oficerowie Czerwonej Armii, że ludność obnosiła ich i całowała... Miasto Łódź wraca do życia. Na licznych konferencjach omawia się najbliższy program pracy. Stanęli już do pracy urzędnicy magistratu, spółdzielcy, lekarze, pracownicy sądowi... W Łodzi organizuje się pismo codzienne „Wolna Łódź”.

Wspomniane pismo było raczej ulotką, niż gazetą, bo całość numeru mieściła się na dwóch stronach niewielkiego formatu, ale mieszkańcy miasta, pozbawieni od lat polskiej prasy, czytali ją chętnie, dowiadując się o sytuacji na frontach, o najważniejszych zarządzeniach władz państwowych i municypalnych.

Pierwszy numer „WOLNEJ ŁÓDZI” wyszedł spod pras Drukarni Państwowej przy ul. Piotrkowskiej 86, w środę, 24 stycznia 1945 roku. „Wolna Łódź” – czytamy w artykule redakcyjnym – jest gazetą łódzkiego robotnika i inteligenta, całej pracującej ludności naszego miasta. „Wolna Łódź” jest gazetą prawdy, gazetą zjednoczonej demokracji. Każdy uczciwy Polak znajdzie przyjaciela w naszym dzienniku”.

W jednym z kolejnych numerów ogłoszono tu plomienisty manifest do mieszkańców miasta, wyznaczający Łodzi miejsce w wysiłku zmierzającym do zniszczenia hydry hitlerowskiej:

„Miasto nasze musi wciągnąć się w ogólny rydwan wysiłku wojennego. Od nas w dużej mierze zależy termin ostatecznego zwycięstwa nad hitlerizmem. Potrzebna jest Łódź frontowi! Żołnierza trzeba ubrać, nakarmić i uzbroić. Owoc zwycięstwa nie spadnie nam z nieba, trzeba go stworzyć. Łódź robotnicza wyciężoną pracą weźmie godny udział w działaniach wojennych. Niechaj załadnia motory, niech zahuczą fabryki! Łódź jest polska! Łódź jest patriotyczna! Do pracy!”.

Pismo przetrwało zaledwie tydzień, ustępując miejsca nowo zorganizowanemu, pod redakcją Anatola Mikułki, „DZIENNIKOWI ŁÓDZKIEMU”. W sześciu numerach „Wol-

KAROL BADZIAK

Dwadzieścia lat łódzkiej WFF

20 lat temu Czołówka Filmowa Wojska Polskiego, która utrwaliła na taśmie obraz wyzwolenia kraju rozbili swe namioty w parku im. Księcia Józefa Poniatowskiego. Przypadek ten sprawił, że dała ona początek Wytwórni Filmów Fabularnych w Łodzi.

Natomiast, że ta Wytwórnia jest w tej chwili największą wytwórnią filmową w kraju i że ostała się w tym mieście, to już chyba nie jest czysty przypadek. Łódź stała się więc kolebką przemysłu filmowego i filmowej sztuki. I jest w tej chwili największym ośrodkiem filmowym w kraju. Tutaj powstały najwybitniejsze polskie dzieła fil-

mowe, które zyskały światowy rozgłos i sławę.

W ciągu 20 lat polska kinematografia z chałupniczej, a ściślej barakowej, stała się skomplikowanym, precyzyjnym przemysłem artystycznym. Nastąpił niebywały rozkwit polskiego filmu i ten rozkwit sztuki filmowej z równoczesnym rozwojem przemysłu i techniki filmowej jest właśnie tym, co wyróżnia naszą kinematografię spośród innych. Ta równoległość rozwoju sztuki i techniki jest zapowiedzią dalszych sukcesów w tej dziedzinie. Z tym, że należy sobie zdawać sprawę, że doskonałość artysty nie zastąpi nigdy doskonałości techniki. Przykładem choćby Hollywood, gdzie w idealnych warunkach technicznych rodzi się duża ilość filmów raczej miernych, a niejednokrotnie wręcz kiczów.

Pierwszym powojennym filmem polskim, który powstał właśnie w Łodzi w zwykłym baraku przy ul. Łąkowej w warunkach zupełnego prymitywu były „Zakazane piosenki” w reżyserii Leonarda Buczkowskiego. Od tamtego czasu baza techniczna i produkcyjna Wytwórni bez przerwy wzbogaca się w nową aparaturę, urządzenia i sprzęt, wprowadza się nowe technologie w zakresie obróbki taśmy, udźwiękowienia, techniki zdjęciowej i budowy dekoracji. Ponadto doskonalili swe kwalifikacje szeroka kadra specjalistów filmowych. Wytwórnia filmowa jest fabryką szczególnego rodzaju. Nie ma tam produkcji taśmowej, a jej cechą podstawową jest właśnie niepowtarzalność i nierytmiczność produkcji. Każdy pracownik, nawet ten z najniższym stanowiskiem, musi wykazać się dużą inwencją i być w swym zawodzie wybitnym fachowcem.

Wytwórnia Filmów Fabularnych od roku 1956 spełnia w stosunku do realizatorów filmowych funkcję usługową. Są to najoryginalniejsze usługi jakie można sobie tylko wyobrazić. W Wytwórni nie ma rzeczy niemożliwych do wykonania. Reżyser zażąda drewnianego kamienia, będzie go miał. Zechce mieć 100 kwitnących palm daktylowych równie je otrzyma. Wszystko otrzy-

Dalszy ciąg na str. 5

Dalszy ciąg na str. 3



W minionym tygodniu dwa wydarzenia poza granicami kraju można by uznać za pierwszoplanowe: oficjalne potwierdzenie wizyty premiera Kosygina w Londynie oraz decyzję Turcji o wycofaniu się z wielostronnych sił jądrowych. Oba zasługują na nieco obszerniejsze omówienie w komentarzu.

Zapowiedziana wizyta premiera Kosygina w Londynie i — w jej następstwie — rewizyta premiera Wilsona w Moskwie otwierają błąd z pewnością nowy etap bezpośrednich kontaktów między Stanami Wschodu i Zachodu, co w obecnym okresie — wysoce niekorzystnych — ma szczególne znaczenie.

Są jednak i inne powody, dla których wiadomość tę szczególnie wyeksponowano i stała się tematem licznych komentarzy. Mieszczą się one w krótkiej formule: „3 razy po raz pierwszy”. Po raz pierwszy po dłuższej przerwie spotykają się przywódcy mocarstw światowych, po raz pierwszy nowy premier radziecki udaje się z wizytą na Zachód, po raz pierwszy Wilson będzie rozmawiał z szefem rządu ZSRR jako premier Wielkiej Brytanii...

Oto dlaczego, choć spotkanie dojdzie do skutku z pewnością dopiero wiosną, już teraz znajduje się w centrum zainteresowania.

Przywódcą partii pracy, zanim objęła ona władzę, niejednokrotnie dawał do zrozumienia, że jego rząd szczególną wagę przywiązuje do polepszenia stosunków ze Związkiem Radzieckim. Przypomniał to w swym wystąpieniu na sesji Rady Najwyższej ZSRR premier Kosygin, stwierdzając m. in.:

„Z uwagą odnosił się do tych oświadczeń i do swej strony gotowi jesteśmy współdziałać w ułożeniu współpracy między naszymi krajami, w tej liczbie również w sferze stosunków gospodarczych”.

To podkreślenie wydaje się być nie tylko dobrą zapowiedzią rozmów, lecz także sygnałem, że tematem spotkania będą przede wszystkim stosunki: ZSRR — Anglia, ze szczególnym uwzględnieniem rozwoju wymiany handlowej. Na pewno jednak nie wyłącznie. Wobec mnogości spraw międzynarodowych czekających rozwiązania

— rozmowy dwóch szefów rządów będą na pewno na nie skierowane.

W rachubę wchodzić tu mogą także zasadnicze sprawy, jak nierozwinięcie broni jądrowej, pogłębienie układu moskiewskiego, całkowite i powszechne rozbrojenie, jeśli w tym wyliczeniu nie uwzględnić problemów szczególnych, związanych z sytuacją w poszczególnych rejonach świata.

Wiedzą nasi Czytelnicy, że Wilson jest autorem słynnego już dziś stwierdzenia, że żaden premier labourystowski nie dopuści zachodnio-niemieckiego palca do cyngla atomowego.

Po tej obietnicy można było oczekiwać wiele, skończyło się jednak, przynajmniej na razie, na zastąpieniu projektu powołania „życia wielostronnych sił nuklearnych — projektem sił atlantyckich. Niby nie to samo, ale przecież nie przekreśla niebezpieczeństwa współudziału Niemiec zach. w broni nuklearnej.

Ten i inne problemy mogą być właśnie tematem pożytecznej wymiany myśli. Skoro już o wielostronnych siłach mowa — przejdźmy do drugiego wydarzenia: decyzji Turcji o wycofaniu się z tych sił. Znaczenie tego kroku polega chyba głównie na tym, że stwarza precedens, co dla bardzo nadwątlonej koncepcji może oznaczać definitywny koniec.

Spróbujmy w tym miejscu raz jeszcze dokonać przeglądu sytuacji.

Po stronie entuzjastów tego projektu musimy wpisać dwa kraje: Stany Zjednoczone i Niemcy zachodnie, po zdecydowanie przeciwniej: Francję i obecnie Turcję. A co wypełnia środek? W. Brytania — ze swoim nowym planem, bardzo niezdecydowane Włochy, Belgia, Holandia i Grecja, biorące wprawdzie udział we wstępnych dyskusjach, ale ustosunkowujące się z rezerwą i wreszcie: Dania i Norwegia zupełnie nie okazujące zainteresowania amerykańskim planem.

Czy w tej sytuacji śladem Turcji nie pójdą inne kraje?

I jeszcze inne pytania: Co skłoniło Turcję do tego kroku? Czy rzeczywiście, jak chcą niektórzy komentatorzy zachodni, tylko trudna sytuacja wewnętrzna? A może dotychczas ślepo podporządkowana polityce amerykańskiej Ankara zaczyna się usamodzielniać? „Les Echos” notuje na przykład wzrost neutralistycznych tendencji nurtujących turecką opinię publiczną...

Przedwcześnie chyba byłoby szukać odpowiedzi na te pytania — podsunie je najbliższy okres.

W. ŚLAWSKI

TKRONIKA TYGODNIA

NIEDZIELA,
10 STYCZNIA

● Republikański senator Karl Mundt oznajmił po złożonych przez sekretarza stanu Ruską wyjaśnieniach przed senacką komisją spraw zagranicznych, iż zdaniem członków komisji sytuacja w Wietnamie południowym jest „gorsza niż trzy miesiące temu”, zaś on sam nie znalazł w wypowiedziach Ruską „nic dobrego”.

● Paryski dziennik „Le Monde” wypowiedział się za dyplomatycznym uznaniem NRD. „Europejski realizm wymaga — stwierdza dziennik — aby świat kapitalistyczny uznał istnienie Niemiec-Republiki Demokratycznej”.

● Agencja AFP w komentarzu na temat decyzji rządu Francji wymiany 150 mln dolarów na złoto zwraca uwagę, że krok ten spowodowany został dwoma celami: tendencją do zahamowania eksportu kapitału amerykańskiego do Europy oraz doprowadzeniem do rewizji obecnego systemu monetarnego w celu przyznania większego znaczenia Europie kontynentalnej przeżywającej rozkwit gospodarczy.

● Papież Paweł VI przesłał na ręce przewodniczącego Rady Państwa NRD Waltera Ulbrichta najlepsze życzenia noworoczne.

PONIEDZIAŁEK,
11 STYCZNIA

● Sąd Najwyższy w Paryżu uchylił wyrok sądu pierwszej instancji skazujący publicznie francuskiego na karę grzywny za obrazę prezydenta republiki. Publicysta ów krytykując stanowisko de Gaulle'a wobec WSN, nazwał je „gaullistowską megalomanią”. Sąd Najwyższy uznał, że artykuł zawierał wprawdzie „bardzo surową krytykę”, lecz „nie stanowił zamierzonej obrazy prezydenta”.

● Obserwatorzy polityczni w Bonn zwracają uwagę na wzrastającą aktywność polityczną Straussa, który wykazując rozbieżności w tonie rządzącej CDU, nadaje swojej partii CSU kurs zdecydowanie prawicowy z wyraźnymi nacjonalistycznymi podtonami. Koncepcje Straussa, zauważa szwajcarski „Die Tat”, mogą stanowić coś w rodzaju ideologicznej platformy dla zgrupowania rozproszonych, ale bynajmniej nie pozbawionych znaczenia nacjonalistycznych elementów w NRF.

● Waszyngton z niepokojem śledzi nasilające się nastroje antyamerykańskie na kontynencie Ameryki Łacińskiej. Prasa USA z irytacją donosi, że wielu polityków południowoamerykańskich „nie przejdanych antykomunistów”, chętnie zrzuci winę za stagnację w swoich krajach na eksploatację monopolu USA. Społeczeństwo ze swej strony popiera tych polityków, którzy „szermują nacjonalistyczną frazeologią”.

WTOREK,
12 STYCZNIA

● „Najważniejszym i najbardziej palącym problemem, przed jakim stoi świat, jest położenie kresu rozpowszechnianiu broni jądrowej” — stwierdza „New York Times”. Dziennik postuluje zwołanie konferencji pięciu mocarstw atomowych na wysokim szczeblu w celu zawarcia odpowiedniego porozumienia w tej sprawie.

● Norweski minister rybołówstwa wypowiedział się za ustanowieniem międzynarodowej inspekcji połowu ryb na północnym Atlantyku. Ilość ryb w tym rejonie Atlantyku zbyt szybko spada, stwierdza minister, co dowodzi, iż na wodach tych połowy są zbyt intensywne.

● Turcecki dziennik „Milliyet” podał informację, że Turcja nie będzie uczestniczyła w wielostronnych siłach nuklearnych NATO.



Zmącone zwierciadło

● Rząd południowokoreański powziął prowokacyjną decyzję wysłania do walki z partyzantami południowowietnamskimi 2 tys. żołnierzy. Rząd KRDL oświadczył w związku z tym, że nie będzie beczynnie przyglądał się poczynaniom seuleskich marionetek.

pisarza z okazji nowego roku 1958 dla miesięcznika „Oktaabr”. Nie opublikowany wówczas artykuł odnaleziono w archiwum pozostawionym przez zmarłego pisarza.

● Lewicowa agencja hinduska IPA w komentarzu z przebiegu zakończonych niedawno zjazdu Indyjskiej Partii Kongresowej stwierdza, że zjazd ten oznacza „zwrot Kongresu na prawo”. Podobne zdanie reprezentuje dziennik lewicy kongresowej „Patriot”.

● W Waszyngtonie pojawiły się pogłoski o możliwości zmiany na stanowisku sekretarza Departamentu Stanu. W wypadku ustąpienia Ruską stanowisko to miałby objąć senator Fulbright.

● Gaston Soumialot — minister obrony powstałego rządu kongijskiego: „Każdy Kongijski jest żołnierzem, począwszy od siódmego roku życia. Możemy walczyć przy pomocy łuków i strzał, przy pomocy pałek, i ta broń kontynuować naszą walkę... odnieśliśmy zwycięstwo gdybyśmy nawet walczyli mieli przez sto lat”.

PIĄTEK,
15 STYCZNIA

● Władze administracyjne stanu Kalifornia zaniepokoił fakt wzmagającej się działalności prawicowych organizacji wojskowych, szkolących potajemnie swych członków w różnych rejonach tego stanu. Przywódcy tych organizacji oświadcza, iż po klęsce senatora Goldwatera należy zastąpić polityczną „walkę

wyborczą z komunizmem”, walką przy użyciu broni. Były prokurator generalny ostrzegł w swoim czasie władze stanowe przed zbyt liberalnym traktowaniem ugrupowań prawicowych, przypominając, że w taki sam sposób traktowano początkowo organizacje hitlerowskie w Niemczech.

● W związku ze zbliżającą się datą wyborów stanowych w stanie Kerala w Indi, podano do wiadomości, że stanowe organizacje obu partii komunistycznych oraz organizacje socjalistyczne utworzyły zjednoczony front wyborczy.

SOBOTA,
16 STYCZNIA

● Były premier rządu kongijskiego Adoula wystąpił z planem rozwiązania problemu kongijskiego. Plan Adoula zakłada:

— zwołanie konferencji przedstawicieli wszystkich tendencji politycznych w Kongu, a szczególnie z udziałem przywódców powstańczych;

— wycofanie obcych wojsk z Konga i zastąpienie ich jednostkami afrykańskimi;

— rozpisanie nowych wyborów pod kontrolą Organizacji Jedności Afrykańskiej i wyłonienie kongijskiej demokratycznej administracji państwowej.

● Moskiewska „Prawda” zamieściła artykuł na temat zadań literatury i sztuki radzieckiej. „Popierając prawdziwe nowatorstwo i śmiało tworzące poszukiwania w sztuce realizmu socjalistycznego — czytamy w artykule — radziecka opinia publiczna oczekuje natchnionych dzieł ukazujących naszą dzisiejszą rzeczywistość. Sztuce naszej powinna być obca zarówno bezradność wobec zawziętości życia i czarnowidztwo, jak i chępliwość, filisterskie samozadowolenie, malowanie siankowych obrazków, przedstawiających życie tylko w różnorodnych barwach”.

CZWARTEK,
14 STYCZNIA

● „Literaturnaja Rossija” opublikowała artykuł Borysa Pasternaka przygotowany przez

POLONICA

„PLUSKWA” W REŻYSERII K. SWINARSKIEGO

Jak donosi „Frankfurter Allgemeine Zeitung” z 22 grudnia ub. roku, w Schillertheater w Berlinie zachodnim odbyła się premiera „Pluskwy”. W rolę mierzającego Majakowskiego, który ra opiewował i przygotował Konrad Swinarski. Inscenizacja polskiego re-

żysera spotkała się z ogólnym uznaniem krytyki i publiczności. Oto, co pisze Dieter Hildebrandt, recenzent „Frankfurter Allgemeine Zeitung” na łamach tejże gazety: „Wspaniała inscenizacja, jeden z najświetniejszych wieczorów teatralnych 1964 roku. Mi-

dy polski reżyser rozwija swój geniusz między wierszami. Wygrywa paizy. Czasami ma się uczucie, że jemu potrzebna jest sztuka bez słów, że potrzebny mu dramat, składający się z samych międzyaktów”.

Zaliste, zaliste, Ale amatorzy wielkich liczb powiedzą: „Mój Boże, co za sentymentalizm z powodu kilku koni, gdy tymczasem my oplakujemy dziesiątę milionów ludzkich ofiar wojny!”

Zaliste, zaliste, Ale amatorzy wielkich liczb zawsze są gotowi poświęcić „dla dobra sprawy” dziesiątę milionów ludzi, jeśli tylko oni sami nie muszą brać w tym udziału. Jednakże kto raz okutyłmi butami piechura wszedł w otwartą ranę umierającego konia, by ratować własne życie, ten wie, co są warte „dobre sprawy”, w imieniu których prowadzi się wojny, i w każdej beznadziejnej noc będzie myślał o tym żywym moście na Bzurze.

Niechaj Bóg podaruje politykom podobne wspomnienia dla ich beznadziejnych nocy!”

OSKAR JAN TAUSCHINSKI

W Monachium ukazał się „Literatur-Kalender 1965”, zawierający zacytowania pisarzy. Naszą uwagę zwrócił życiorys pisarza austriackiego, Jana Oskara Tauschinskiego, który kończył polskie gimnazjum w Gdańsku przed wojną, a we wrześniu walczył po stronie polskiej. W kalendarzu znajduje się przejmujący fragment jego autobiografii, którą cytujemy:

„Ponieważ Polska prawie nie posiadała artylerii przeciwlotniczej, eskadry niemieckich bombowców latały nisko ponad ziemią, jak jaskółki w porze przedświeczkowej. Nie trafić w cel było prawie niemożliwością.

W czasie bitwy w huku Wisły, niemieckie bombowce zaskoczyły polski tabór przy przepławianiu się w bród przez rzekę Bzurę. Przerażone konie

runęły wraz z pojazdami do wody, porzucając ciężary i zblity się w kiln do tego stopnia, że powstał most z żywych, zdychających i martwych już koni oraz z ich zaprzęgów. Skacząc z wozu na wóz i z konia na konia można było przeprawić się przez rzekę, która na całym przetrzeźni jedynie w tym miejscu do tego się nadawała. Tysiące uciekających żołnierzy przeszło tym mostem — i ja byłem jednym z nich. Konie z trudem utrzymywały piski nad powierzchnią rwącej wody, by móc oddychać. Ale już nie reagowały, gdy szło się przez otwarte na ich plecach rany. Kto widział to wszystko, przeprawiał się przez ów most, ten nie może powrócić do krainy niewinności podobnie, jak umarli nie mogą wrócić do życia przez podziemne piekło szlamu i błota.

ŁÓDŹ WOLNA!

Dalszy ciąg ze str. 1

nej Łodzi" obok informacji z teatru wojny, znajdujemy wezwania do podjęcia pracy, do zabezpieczenia mienia państwowego i ochrony własności polskiej, pozostawionej na łasce losu przez uciekających w popłochu reichs- i volksdeutsche. Już w pierwszym numerze dziennika pojawił się gwałtowny protest przeciwko bandom szabrowników, grabiących fabryki, domy i magazyny, stanowiące własność państwa. W dalszych numerach pisma znajdujemy historyczne już dziś materiały o tworzeniu zbrojów władzy ludowej, o powolnej stabilizacji wyzwolonego miasta. Na kartach niepozornej gązety mnóstwo notatek o uruchomieniu pierwszych wozów tramwajowych, wiecach manifestacyjnych i zebrań organizacyjnych ugrupowań politycznych i społecznych. Ze wzruszeniem czyta się dziś o początkach ludowego szkolnictwa i sądownictwa, o działalności instytucji ubezpieczenia społecznego, o otwieraniu pierwszych kin i teatrów, o wysiedleniach i uchodźcach, wracających do swoich mieszkań.

W czwartek, 1 lutego, pojawił się pierwszy numer „Dziennika Łódzkiego”, witając czytelników przepięknym fragmentem „Kwiatów polskich”. Tuwima, akcentując tym trwały związek poety z rodzinnym miastem. W fragmencie tym, ogłoszonym po raz pierwszy w londyńskich „Wiadomościach Polskich” w 1941 roku poeta – łódzianin pisał:

Niech będzie biedny, ale czysty,
Nasz dom z cmentarza podziwiony.
Ziemie, gdy z martwych się obudzi
I brask wolności ją ozłoci,
Daj rzędy mądrych, dobrych ludzi,
Mocnych w mądrości i dobroci.
A kiedy lud na nogi stanie,
Niechaj podniesie pieśń zylastą.
Daj pracującym we władanie
Plan pracy ich we wsi i miastach.

A obok, w artykule redakcyjnym, widnieją słowa, stanowiące jakby odpowiedź na życzenie poety: „I nasz łódzki robotnik zdał w całej rozciągłości swój egzamin społeczny. To jego trosce, to jego zgrubiałym od trudu rękoma należy zawdzięczać, że wszystkie fabryki i zakłady są nienaruszone... Szybko i sprawnie działające komitety fabryczne zabezpieczyły mienie fabryczne od rabunku”.

Nowe pismo przetrwało niewiele dłużej od pierwszego. Po kilku numerach zostało zawieszone, by odnowić się pod tą samą redakcją dopiero 6 lipca 1945 r. i przekształcić do dnia dzisiejszego.

4 lutego 1945 r. ukazało się w Łodzi główne wydanie „GŁOSU LUDU”, wychodzącego dotychczas w Lublinie. Zespół redakcyjny w pierwszym łódzkim, a 88 kolejnym numerze pisma, donosił czytelnikom:

„Pismo nasze, stworzone przez Polską Partię Robotniczą na terytorium wyzwolonym w lecie ub. roku, staje mocną stopą w stolicy Polski robotniczej. Łódź była od dziesięcioleci twierdzą naszego ruchu – antyfaszystowskiego ruchu robotniczego. Jesteśmy tu u swoich, u towarzyszy, w domu. Przenosząc się do Łodzi, „Głos Ludu” powrócił może tylko słowem zawarte w pierwszym numerze: będziemy wierni Polsce i wierni ludowi polskiemu, będziemy służyli narodowi polskiemu i sprawie robotniczej”.

W połowie czerwca 1945 r. pojawił się „GŁOS ROBOTNICZY”, do dnia dzisiejszego towarzyszący wspomnianemu już „Dziennikowi Łódzkiemu”.

Z biegiem czasu Łódź stawała się nie tylko centralnym, wobec zniszczenia Warszawy, punktem życia politycznego kraju, ale także ważnym ośrodkiem kulturalnym. „Już jest czynny w Łodzi uniwersytet – pisał 6 lipca 1945 r. redaktor wznowionego „Dziennika Łódzkiego” Anatol Mikulko – grają z powodzeniem teatry, wychodzi kilka pism. I rozwój kulturalny będzie stale wzrastał, jeśli się zapewni tym placówkom odpowiednie warunki egzystencji”. 1 czerwca ukazał się w Łodzi pierwszy numer „KUZNICY”, pisma społeczno-literackiego, redagowanego przez komitet w składzie: Z. Nałkowska, A. B. Dobrowolski, M. Jastrun, J. Kott, A. Rudnicki i S. Żółkiewski. Wkrótce Związek Samopomocy Chłopskiej wydał dwutygodnik społeczno-kulturalny „WIEŚ”, łódzcy socjaliści wystąpili 30 września 1945 r. z pierwszym numerem tygodnika literackiego „POBUDKA”, tworzył się podatny grunt dla nowych przedsięwzięć literackich i wydawniczych.

W kraju echał powoli zgłęb wojenny, zamiast grzechotu karabinów maszynowych, zamerktowały pośpiesznie krosna widzewskiej manufaktury, zaczęło zbierać na polach pierwsze plony, by dać kwaśny, gorzki i ciężki, ale własny już chleb, wolnemu narodowi.

ANDRZEJ KEMPA

FELIKS BABOL

Sytuacja w przełomowych dniach stycznia 1945 roku wyglądała tak:

„Linia frontu zastępną na Wiśle jesienią w roku 1944, odcinając okupowane jeszcze lewobrzeżne ziemie polskie od wyzwolonej już Lubelszczyzny. Trudnym owocem zwycięstw wojny toczonych wzdłuż tej linii przez wojska radzieckie i polskie owej jesieni były krwawo wywalczone przyczółki na lewym brzegu Wisły – pod Sandomierzem, Warką i Kazimierzem. Z tych właśnie przyczółków rozpoczął się teraz ofensywa, na którą od miesiąca niecierpliwie czekała cała Polska. Ofensywa przygotowana była nader starannie. W ciągu dłuższego okresu zacięła na tym froncie, wykruszone poprzednio dywizje zostały wzmocnione zarówno siłą żywą, jak i sprzętem. Wojska radzieckie na linii Wisły od Zegrza po Józefów liczyły teraz około 140 dywizji piechoty i kilkadziesiąt brygad pancernych, z górą 4800 samolotów. Tymczasem dowództwo hitlerowskie, które przewidywało radzieckie natarcie na północy, na Olsztyn – nie spodziewało się niczego poważnego na linii Wisły, toteż bronilo tej linii słabymi siłami, stanowiącymi równowartość około 30 dywizji (w tym 4 dywizji pancernych). Gdy zaś zorientowano się w zamiarach radzieckich – było już za późno.

Wojska radzieckie i Frontu Białoruskiego i Frontu Ukraińskiego wymierzyły główny cios armiom hitlerowskim, broniącym linii Wisły – na rozstrzygującym, berlińskim kierunku strategicznym. 12 stycznia w rejonie Staszowa zaprzęgniętych zostało radzieckich dział i moździerzy...”

14 stycznia przeszły do natarcia wojska 1 Frontu Białoruskiego i tegoż jeszcze dnia przełamały główny pas obronny nieprzyjaciela. Następnego dnia dwie radzieckie gwardyjskie armie pancerne uderzyły z przyczółków pod Warką i Kazimierzem na Żyrardów i ścigały rozbiegającego nieprzyjaciela w kierunku Łodzi, obchodząc Warszawę od południa i południowego zachodu. Równocześnie 47 Armia Radziecka wspierana ogniem polskiej artylerii, zlikwidowała przyczółek niemiecki w wioskach Bugo-Narwi i sama sforsowała Wisłę na północ od Warszawy.

W ciągu tygodnia wojska 1 Frontu Ukraińskiego posuwały się naprzód o 140 km podchodząc do granic Śląska. Wojska 1 Frontu Białoruskiego w dniu 19 stycznia wyzwoliły Łódź witane entuzjastycznie przez ludność...”

(Wojskowy Biuletyn Prasowy z 30 grudnia 1964 r.)

A więc znad Warki ruszyła w dnia 12 stycznia ofensywa. W Łodzi blokady napędzali strachu starym volksdeutchem. Na zbiorach volkssturmu przypominali im, że właśnie oni, ci, którzy w tej wojnie skorzystali z wielkiego dobrodziejstwa fuhrera przyznającego im w volkslistach jakiś tam ułamek niemieckości, że właśnie oni, gdy nadejdzie chwila, bronić będą „każdego przodu niemieckiej ziemi w Łodzi i w całym Warthegau”. Więc wyleńcie niemiastki całą swą nienawiść do SS, która im zleciła tak ambitne i tak absurdalne zadanie, wydłubali na ludzich spódnicach do kopania rowów przeciwkołowych. Do pracy przy rozbijaniu łódzkiego przemysłu, ładowaniu maszyn, szpiclowali na potęgę, donosili. Niek którym gestapo dało volkslistę tajnie – żeby mogli donosić lepiej, ci byli najgorsi, bo działający w środowisku polskim niemal bezczernowro mogli być wyniszczani, wysyłając na Anstęta sprowokowanych i zaszpiclowanych. Na Napiórkowski (Przybyszewskiego) na przykład głośnym echem odbiła się po styczniu 1945 sprawa jednego z nich. Gdy ukazały się na miejsce wiadomości o skazaniu szpicla na śmierć, ludzie zaczęli rozumieć pewne rzeczy, ale dopiero w sali nr 1 sądu na Placu Dąbrowskiego wyszło na jaw, że ten człowiek (o bardzo polskim nazwisku) wydał w ręce gestapo 40 Polaków, z których przecież nie wszyscy wrócili potem z katechów.

Szpicel działał przemysłnie. Zapraszał przez swych znajomych i krewnych, bądź sam, do siebie do domu pod pozorem imienia, urodzin czy innych uroczystości rodzinnych i już przy pierwszym toście zaczynał rozmowę o polityce. A wystarczyło mu stwierdzić, że któryś z zaproszonych Polaków słuchał radia, bądź miał kontakt z podziemiem, a na następnym przyjęciu już go nie było wśród zaproszonych gości.

W środę, 17 stycznia nad miastem ukazały się spadochronowe radzieckie rakiety, siejące popłoch wśród niemieckiej załogi i obywateli. W miastu bliska wolność, która dano już tego dnia Warszawy. Więc w czwartek dzień minął na zamieszaniu wśród hitlerowskich oficerów i żołnierzy, których ogarnęła panika bliskiej ucieczki. Tylko „Litzmannstädter Zeitung” opętało zagrzewać do oporu, tylko ten organ niemieczyny w Warthegau stwierdzał, że „jak donosi Oberkommando der Wehrmacht, wojska niemieckie znowu planowo wycofały się na z góry upatrzone pozycje obronne...”

W czwartek unikały chyłkiem z getta niemieckie posterunki, tego też dnia rozegrał się dramat Radogosz. Nad wieczorem wyraźnie można było usłyszeć daleką kanonadę, coraz częściej ponurą ciszę nocy zekłólało głucho dudnienie bombowców. Przez cały czwartek donosiły się pożary wzniesione jeszcze w środę wieczorem. Obrzucił się zaś zmienił się 18 stycznia z gruntu. Kolumny wojsk szybko uciekały na Pabianice i Łask, gromady żołnierzy z rozbitych, zdeorganizowanych oddziałów wioły się w ogniu. Ulice zaloczyły się nagle wojskowymi samochodami, którym brakło benzyny i które porzucono, były tylko nie zawadzały w ucieczce. Tuż za nimi podążały wojska radzieckie, łamiąc z marszu opór hitlerowców.

Ranni oficerowie i żołnierze niemieccy, którzy od dawna już odbili się od swych oddziałów i których losem nikt się nie

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

ZAMIEĆ W ŁODZI

Jak każdy czasem kto pastel zetrze,
Biało zatarte jest miasto całe,
I w takim śniegu, i w takim wietrze
Trzepią się barwy czerwono-białe...

A ponad śniegiem drżą błyskawice! —
Z bijącym sercem człowiek wychodzi —
Powitać dawno znane ulice,
Powitać flagi w nowej Łodzi.

Styczeń 1945

przejmował, pytali o lazaret. Kierowano ich na Zeromskiego, ale tu już nikogo nie przyjmowano. Było voll... W jednym z okien szpitala siedział obandażowany jak mumia żołnierz z gitarą w rękach i jakimś dziwnym głosem śpiewał „Gitarre d'amour...”, na dziedzińcu szpitalnym, na korytarzach umierali ci, którym już nikt pomóc nie potrafił.

Siedzieliśmy w piwnicy całą noc czekając na wydarzenie. Właściwie czekaliśmy na wolność. Trzeba było jednak zejść do piwnicy, bo kule karabinów maszynowych, strzelających po daskach przeciwpancerne z rejonu dworca kolejowego na Chojnach, dzurawiły nasz drewniak jak sito. A kanonada arty-

nim niemieccy żołnierze zrozumieli, że właściwie wszystko się już skończyło. Ale nie tak nie wgrzyło się w pamięć z wydarzeń owych dni, jak śmierć radzieckiego żołnierza, który zginął rankiem na ulicy Malczewskiego. Po mundurze, walonkach i zmęczeniu znać było, że przeżył szmat drogi zanim znalazł się na tej ulicy, na przedmieściu Łodzi, szukając pewnie swego oddziału i nagle zatrząsał rękami i runął w śnieg. Skąd padł strzał? Dlaczego tu, w tym obcym mieście, które wyzwał, spotkała go śmierć tak nagle i tak tragiczna.

I tak się to zaczęło...

leryjska była tak silna, że cały dom drżał w posadach.

Za ścianą, u właściciela domku, nikt nie spał tej nocy. W pośpiechu chowano portret fuhrera i volkslisty zdobyte z takim trudem tuż pod koniec wojny...

Po północy uciszyło się nieco, z dała grała tylko artyleria, lokomotywy odzywały się żałośnie i zaraz milkły. W wielu fabrykach czuwano tej nocy w kotłowniach i przy maszynach, aby uciekającym Niemcom udaremnić ostateczną dewastację parku maszynowego. Chowano mechanizmy, bez których agregaty nie mogły ruszyć, wykręcano serca maszyn istotnych dla ruchu. Tej nocy wielu robotników łódzkich przysłużyło się pierwszym dniom wolności, bez ich poświęcenia i męstwa nie byłoby ani produkcji, ani pracy w owych pierwszych miesiącach po styczniu 1945.

Świt 19 stycznia wstawał w mieście biały i martwy. Ale w powietrzu czuło się już wolność. Tej jednej nocy z czwartku na piątek „Kraj Warty” przestał istnieć bezpowrotnie, nie było już Litzmannstadtu! Była Łódź!

Niedobitki hitlerowskich oddziałów przedzierały się jeszcze na zachód. Na szosie wiodącej z Łodzi przez Pabianice, Łask i Sieradz wśród kłębówiska żołnierzy, taburów i sprzętu ginęli także i cywile – volksdeutsche i reichsdeutsche. Ci pierwsi uciekali przed zemstą zdradzonych i prześladowanych, ci drudzy – nieśli do Vaterlandu uczucia zawodu i gorycz klęski tysiącletniej Rzeszy.

Tej nocy w wielu domach w Łodzi, w których przez całą wojnę mieszkali umundurowani i cywili przedstawiciele władzy hitlerowskiej, gestapo, SA, kripo i blocklertery – dozorczy zamykali szczelnie bramy, udając się na pierwszą „inspekcję” zgrabionego przez hitlerowców łupu. To był pierwszy wielki łódzki szaber.

Rankiem wychodzili z domów ludzie, oszołomieni tą historyczną nocą, aby dotknąć prawdy: na ulicach pojawiły się pierwsze radzieckie czołgi-obrzymy, T-34. Zaraz też czołgi pokryły się dzieciarnią i kwiatami. Dzieci dotykały mundurów żołnierzy, podziwiali filcowe walonki i wielkie gasienice, i twarze wyglądające z czołgowych wieżyczek. Dowódcę jednego z czołgów uprosiły, aby podjechał pod Kasę Chorych na Lecznicej i tam „trochę postrzelał”. Byli tam jeszcze Niemcy, którzy z górnych pięter budynków strzelali, siejąc panikę i śmierć na ulicy. T-34 wywalił wiele dziur w fasadzie Kasy Chorych, za-

Do miasta zaczęli wracać ludzie, więc zarodziło się w Urzędzie Mieszkaniowym na Zielonej. Oprócz tych, których wojna zmusiła do szukania dachu nad głową, oprócz wilnian, lwowiaków i lublinian w brudnych, zatekłych korytarzach Urzędu tłoczyli się i łódzianie. Część z nich nie odnalazła już po powrocie swych przedwojennych mieszkań, większość przysłała po decyzje na nowe, większe i ładniejsze mieszkania. To były pierwsze dni akcji z tzw. puli na poprawę warunków mieszkaniowych w Łodzi, akcji, która potem przez wiele lat jeszcze miała być częścią polityki mieszkaniowej władz miejskich.

Zarząd Miejski począł organizować urzędy i instytucje, komunikację i ład w mieście. Praca leżała na ulicy, wystarczało się schylić. Powoli w różnych punktach miasta zaczęły dymić kominy fabryczne, z czasem dymy zasnuły całe łódzkie niebo, ale to, że miasto uratowano przed martwością, przed klęską głodu – to zasługa radzieckich kwaterymistrzów i intendentów, którzy zaopatrzyli łódzkie piekarnie w mąkę, aby miały z czego piec chleb przez kilka tygodni, to również zasługa radzieckiej bawelny.

I ludzie zaczęli się organizować, w fabrykach powstawały rady załogowe, jako wyraz przedstawicielstwa załogi (nie całego zakładu, tylko załogi), rodziły się też pierwsze drastyczne konflikty na tle różnego pojmowania załógowców dzierżawczych, „nasze” i „moje”.

U Stolarowa na Górniaku wybito w tych dniach dużą dziurę w murze odgradzającym fabrykę od ulicy, aby łatwiej można było wynosić całe sztuki utkanego towaru. Bo za Niemców robiony. Więc rada załogowa na zwołanym naradzie zebraniu podziękowała niektórym za poświęcenie przy uruchamianiu oddziałów fabrycznych, ale innych zgromiła, tłumacząc, że „nasze”, to wcale nie znaczy „każdego z osobna”, że z fabryki nie wynosić nie wolno. Ie trzeba było potem jeszcze zebrań i perswazji nim zrozumieli wszyscy, że na każdy metr tkaniny czeka cały zrujnowany kraj.

Odezwy wzywały do dyscypliny społecznej, do pracy nad odbudową ze zniszczeń. Pełnomocnik rządu na Łódź i województwo, plk Loga-Sowiński zawiadamiał, że właśnie objął władzę w mieście. Urzędował w pałacu Poczcińskiego, czyli w przedwojennym Urzędzie Wojewódzkim, czyli w obecnej Wojewódzkiej Radzie Narodowej. W sobotę zjawiliśmy się u Pełnomocnika, aby zadać pytanie: „Co robicie?”. Myśleliśmy o prasie łódzkiej, zebrało się już nawet kilku dziennikarzy, którzy po latach okupacji pragnęli znowu pracować w swym zawodzie.

Poczekajcie – rzekł Pełnomocnik – dzisiaj mamy sobotę, jutro jest niedziela, tak... w poniedziałek przyjdzie organizować prasę łódzką kpt. Litwin. Zgłoszcie się do niego.

W poniedziałek na podwórzu domu przy ulicy Piotrkowskiej 86, gdzie przez całą wojnę drukowano „Litzmannstädter Zeitung”, zjawił się kpt. Litwin i wziął też zaraz pod swoją „kemenkę” dość licznie przybyłych zecerów i nas, trzech dziennikarzy...

Już następnego dnia wydaliśmy pierwszy numer „Wolnej Łodzi”. I tak się to wszystko zaczęło.

Dalej jest już Hiszpania...

W Biarritz — Hiszpanię mamy już pod nosem. Nie tylko ta nikła ilość kilometrów, ta krótka linia na mapie przypominają nam o tym. Co chwila ukazują się naszym oczom liczne napisy po francusku lub po hiszpańsku, albo tylko po hiszpańsku o sprzedawczych działach czy willi. Potem obrazy przesuwają się szybko. Szeroka, oblana deszczem platforma parkingu, gdzie zostawiamy samochód. Wysoki brzeg plaży, na którą mamy prawie ochotę skoczyć z otwartymi parasolami. Na parkingu kilka samochodów z San Sebastian. Napisy zawiadamiające, gdzie można grać w golfa, a gdzie w tenisa, gdzie dobrze się przespacerować, a gdzie znowu podają oryginalne potrawy hiszpańskie.

Przechadzamy się po pustej plaży. Z daleka widoczny olbrzymi żaglowiec odprowadzany naszym wzrokiem stwarza swoiste wrażenie lęku. Jego samotność w tym pomurym krajobrazie morza jest bezsporna. Wracamy i potem szybko przez miasto. Na tarasach kawiarni rozsiadli się spalenicy na brąz turyści. Teraz już tylko jeden sus do granicy. W Hendaye rozgrzewamy się francuskim koniakiem. Zatrzymujemy samochód już na moście koło budki francuskich celników. Trzydziestu, czterdziestu może metrów dalej zaczyna się Hiszpania. Mijamy kilkudziesięciometrowy no man's land i wpadamy w pieczętliwie rytmiczne terkotenie hiszpańskiej mowy: „że trudno dzisiaj z wymianą pieniędzy — bo święto, że, nieco dalej, w miasteczku może nam wymienią”. Wymieniamy. I oto jesteśmy na drodze do San Sebastian. Szeroka droga jest zbudowana z czegoś pośredniego między esfaltem a dużymi kamiennymi płytami. W tej materii drogowej jest sporo dziur.

Niepostrzeżony prawie wjazd do San Sebastian. Kosmopolityczna monumentalność architektury kontrastująca z pewną szorstkością, naturalną krzykliwością mieszkań. Kontury pałaców — całe kompleksy architektury pałacowej, a w okolicach plaży niejasne przecięcie międzynarodowego angielsko-amerykańsko-francuskiego tłumy turystów, który co roku naznacza tu sobie snobistyczną schadzke.

Obserwujemy zmianę warty przed bramą gmachu nieokreślonej funkcji. Kto zdoła to odczytać i wyrazić najprościej? Co ukrywa się w spojrzeniu tych sztywnych i uroczystych napuszonych dwudziestolatków z brodami podpiętymi skórzanymi pasekami? Wilgotny ciemny brąz tych oczu niezbyt wiele ponad smutek zdaje się wyrażać. Ale czy jest to przyrodzony smutek hiszpański? Czy też znakomicie wypełniony rozkaz, którego wykonanie sztywny konwens militarny zamienia dla widzów w smutny wyraz twarzy żołnierza, nie pozwalając żadnego miejsca na refleksję?

Stara dzielnica miasta, tuż koło portu, zapchana jest odświętnie ubranym tłumem, który, jak przystało Hiszpanom oddaje się tzw. paseo. Dar el paseo — znaczy po hiszpańsku przechadzać się. Ale też nie tak po prostu. Przechadzać się z pasją. Wkładając w przechadzkę całą duszę. Traktować przechadzkę jako cel sam w sobie. Kobiety i młode dziewczęta grupkami po dwie po trzy. Bez przystanków. Bezustannie wybieranie nogami. Mężczyźni po trzech lub po kilku. Z przystankami. W nylonowych płaszczach. Okrzyki: Mira! Mira! i Hombrel! Hombrel! A do tego, co u licha, Hiszpanki zaczepnie bez mała spoglądające na mężczyzn? Złudzenie czy rzeczywistość? Naturalna ciekawość czy też jeden z rytuałów paseo. Zapiśmy to częściowo na konto owej „szczęści” ze słynnego sonetu Baudelaire'a „Zapach egzotyki”, w którym „oczy kobiet zadziwiają szczęściem”. Miedzy pokusa egzotyki a alarmowym dzwonkiem wszechogarniającej, dotykającej rzeczy wistości miast, miasteczek, dróg, przede wszystkim zaś ludzi hiszpańskich prowadzi mnie ta podróż przez Półwysep Iberyjski.

2.

Co kryje się za wspaniałą fasadą katedr, fortyfikacji arabskich i snującego się za murą wszędzie nieznośnie intensywnego za-

pachu oliwy? Jakiej prawdziwości jest sygnalem charakterystyczne dreptanie — tak jak to ukazuje w swoich filmach Bunuel — kleryków, których pochylone, gorliwe sylwetki zapadają w pamięć? Ow leitmotiv sutanny jest nakazem chwili czy tylko haraczem, splacanym tradycją przyrodzonej religijności ludu hiszpańskiego? A przecież ta religijność, poucza nas historia, jest ledwie odwrotną stroną medalu. Przyrodzony zmysł buntu, naturalna hardość tego ludu, przyrośniętego do ziemi jak ręka do ciała — są nieodzownymi składnikami całości.

A zresztą, czy rzeczywiście lud hiszpański jest głęboko religijny? Czy naturalnym jego powołaniem nie jest szlachetnie pójść pogaństwo, ziemskość, religia, jak wyraża się Miguel de Unamuno, „donkiszotyzm”? Unamuno zastanawiając się nad kryzysem patriotyzmu hiszpańskiego w sprawie owej religijności spozstrzega co następuje:

„Jeśli idzie o religię, to cała nędza tej biednej Hiszpanii, zanurzonej w błocie kłamstw, polega na wiecznym powtarzaniu tego samego kłamstwa, tego mianowicie, że Hiszpania jest krajem katolickim” (Cyt. wg. Pedro Lain Entralgo — La generacion del Noventa y Ocho str. 107).

Wypada więc, odbywając tutaj podróż, mnożyć kontrasty czy też zafałszować siłę przesuwających się przed oczyma obrazów?

Zanim ruszymy do Burgos, powróćmy jeszcze na chwilę, w myśl, do sedziwego starca z Salamanki — Miguela de Unamuno.

Był ten starzec bardziej może niż ktokolwiek inny, przejęty sprawą przyszłości

Notatki z podróży

Hiszpanii, znakomitej tradycji historycznej oraz wszystkich niezwykle złożonych problemów charakteru narodowego.

Stworzenie nowoczesnego narodu i społeczeństwa, które stanęłoby na wysokości XX wieku, związane jest, zdaniem Unamuno, z krytyką tradycyjnych, zakorzenionych od wieków cech „starej kasty historycznej” (vieja casta historica). Unamuno wymienia pięć zasadniczych cech owej kasty: dogmatyzm intelektualny, duch inkwizycji, staroświeckość ducha religijnego, nacjonalistycznie pojmowany patriotyzm, militarystyczna koncepcja armii. Czyli — krótko mówiąc — wspaniała, zawsze gotowa do wypowiedziania się pełnym głosem,



przygrywka do dyktatury. Idealista, sędziwy rektor uniwersytetu w Salamance, pod naciskiem konieczności dziełowej, umiał zdobyć się na nie lada odwagę. U kresu życia, w obliczu okrucieństw, popełnianych przez nacjonalistów, wówczas, gdy Franco wypowiedział owe przerażające w swoim bestialstwie zdanie: „Jeżeli będzie trzeba, rozkaże rozstrzelać połowę Hiszpanów” w dniu Święta Rasy, w Salamance opanowanej przez hiszpańskich faszystów, w chwili, gdy frankistowski generał Millan Astray, inwalida wojenny, przeklina Katalonię i Kraj Basków — w chwili, gdy w auli uniwersytetu zrywa się okrzyk: „Niech żyje śmierć!” Unamuno podnosi się powoli i mówi:

„Bywają okoliczności kiedy milczenie jest kłamstwem. Ustąpiłem okrutny i pozbawiony sensu okrzyk — „Niech żyje śmierć!” — Ten barbarzyński paradoks, wzbudza we mnie wstręt. General Millan Astray jest kaleką. Nie jest to czymś ponizającym. Cervantes był także kaleką. Na nieszczęście jest obecnie w Hiszpanii zbyt wielu ludzi kalekich. Wzdrygam się na samą myśl, że generał Millan Astray mógłby stworzyć podwaliny pewnej określonej psychologii mas. Kaleka nie posiadający siły ducha Cervantesa stara się zwyciężyć użyciem swemu nieszczęściu poprzez kalectwa, które może zadać innym”.

Zwracając się następnie osobiście do Astraya dodaje:

Zwycięzcy, ponieważ posiadacie więcej brutalnej siły, aniżeli wam do zwycięstwa potrzeba. Lecz nie uda wam się nikogo przekonać. Aby przekonać trzeba wykazać swoją rację. Lecz, abyście mogli wykazać waszą rację, powinniście posiadać to, czego wam brak: Słuszności i Prawa w walce. Unamuno za bezcelowe nakłanianie pana do zastanawiania się nad Hiszpanią, Skończyłem”.

3.

Że faszyzm hiszpański wciąż przemawia wysokim głosem, że niczym Narcyz ogląda ekshibicjonistycznie swoją „jedyną” i „wielką” nietrudno się przekonać o tym na każdym bez mała tutaj miejscu. Rząd Generalissimo Franco pięknie podbija faszystowski bebenek efektownymi stylistycznymi formułkami, maczając wszystko solidnie w sosie cytatów, solidnie wybranych, gdzie Bóg, Przeniesienie Narodu, Misja Dziełowa idą w zapasy o lepsze. Buduje się łuki triumfalne i świątynie-pomniki na cześć tych, którzy padli na polu walki o „Nową Hiszpanię”. Przy tym na próżno szukać rozróżnień. Z tych wszystkich śmierci prawo do pomnika, oczywiście, mają tylko te, które kładły podwaliny pod to, czego świat i Europa są świadkami od równych 25 lat. Tak więc — ufając tytułom dzienników, nazwom ulic, różnym, życzliwie dostępnym publikacjom — przybyśże na Półwysep Pireński zmuszeni są przyjąć do wierzenia kilkanaście prawd, które — zanim tu przyjechali — były ich świadomości niedostępne. Teraz właśnie, gdy — zdaniem sprawnych autorów owych tekstów — walka między „Hiszpanią autentyczną” a „Anty-Hiszpanią zalganą”, wywodzi się z czymś wiecznym należy ukazać światu to, co zrobiła Hiszpania dla ludzkości. „W jaki sposób wzbo gaciła wspólny skarbiec ludzkości?”. Zdania te wyjmuję z pouczającej książeczki pt. „Momentos Estelares de Espana” („Hiszpania w momentach świetności”). Dowiadujemy się z tej elukubracji o wielu wielce interesujących rzeczach, o faktach istotnie

historycznych — w niedwuznaczny, określony sposób interpretowanych.

„Jesteśmy Hiszpanami — jedną z nielicznych poważnych rzeczy, które mogą istnieć na świecie” — oto butne zdanie wypowiedziane przez Jose Antonio Primo de Rivera.

„Trzy razy była Hiszpania przedmurzem, puklerzem Europy, poświęcając się dla życia kontynentu, który zdaje się być przeznaczony przez Boga do stworzenia wyższej cywilizacji”.

Jakieś to były — owe trzy chwile „świetności hiszpańskiej”. Powtórzmy za autorem: „Trzy razy świetlana Hiszpania jest obrońcą tego, co zowie się Chrześcijaństwem, obrońcą przed inwazją arabsko-ber-

berberystyczną powtórzenia się jeszcze raz podobnych zdarzeń, w dzisiejszym, nowym, o wiele bardziej sprzyjającym dla „mundo obrero”, układzie. Nie zapominajmy jednak, iż owe zreczone i grane wspomnienia nie we wszystkich trafią z jednakową siłą. Można zaryzykować twierdzenie, że w młodszej prawie wcale nie trafiła. Młodzież więc jest ta grupa, która najchętniej zabralaby się do roboty. Ale i ona napotyka na dodatkowe przeszkody w postaci niezwykle aktywnej polityki Kościoła, który stara się doprowadzić do maksymalnej integracji świadomości młodych obywateli. Nic dziwnego więc, iż w podobnej sytuacji spotkanie młodego człowieka, który w rozmowie z nami wyznał wprost owo „ducha, iż nie ma dzisiaj na świecie innych alternatyw, można być tylko albo komunistą, albo katolikiem — wydać się musi jakąś prawdziwością myślenia, wyrośniętą z dzisiejszego ducha hiszpańskiego. Ten tryk świadomości ekspluataje, na własny użytek stworzoną, manicheistyczną wizję świata. Straszak wszystkich owych tabu, „z drugiej strony” na jednych działał jednolicie, zaprowadzając ich w gromniczną atmosferę kaplic, u innych znów stwarza specyficzny klimat owoc zakazanego, na zerwanie którego przyjąć może nagłe i niespodziewane ochota. Tak czy inaczej Hiszpania dzisiejsza, wpędzona w ślepy zaulek dyktatury, będzie musiała szukać nowych, nieodzownych rozwiązań. Krótka podróż za Pireneje uzmysławia zaledwie skomplikowane nie tych wszystkich spraw, ale w żadnym razie nie pozwala na odpowiedź jednoznaczna w kwestii następującej: Jaka jest ta prawdziwa Hiszpania? Czy jest to owa „Espana moribunda”, o której pisał Salabury, „pobożna ruina” („pieuse ruine”), jaką ją nazywa młody, o gorącym sercu pisarz Juan Goytiso — czy też formuła „Espana — defensora de la Cristiandad” — wszystko może w sobie zamknąć i wyrazić?

5.

Stolica starej Kastylii leży nad rzeką o dziewięczonej nazwie — Arlanzon. Przedmieście tworzą wysokie, zbudowane z szarej cegły kompleksy brzydkich gmachów. Wzdłuż Arlanzonu — już w centrum miasta — biegnie Avenida de Generalissimo Franco. Miasto przytłoczone wciąż wspaniałej katedry zaleca się jednemu w swoim rodzaju kolorem — wybielonym, na którym osiadł kurz lat, a upał spalił na szarość. Tuż koło katedry, w świetle księżyca wyglądającej niezwykle, krzątną po placu. Szybko decydują się na nawiązanie rozmowy z dwiema dziewczynkami, które, z wyglądu studentki, obrzuciły nas spojrzem pełnym zachęty i ciekawości. Ale z rozmowy nie nic nie wychodzi. Bo zachęta przemienia się w obojętność, a ciekawość w uprzejmość. Informacja jest szybka i precyzyjna. Tu na rogu mają nam wskazać hotel. Na rogu tzn. na pierwszym piętrze gmachu, który jest czymś w rodzaju ogniska katolickiego dla młodzieży. Tam cisza załocana subtelnie muzyką organową dochodzącą gdzieś z góry. Kilka osób nieruchomych czy zniechęconych w swoich czynnościach. Autentyczny klerik dublujący w zębie. Chłopak pochylony nad Cervantesem. Chłopak czyszczący buty. Staruch bawiący się kotem. Na ścianie — tutaj widzimy go po raz pierwszy — otyły już nieco profil Jego Eksceleencji z lakonicznym podpisem: „Francisco siempre con Burgos — Burgos siempre con Franco”. Nie dziwnego. Ta miłość ma swoje historyczne uzasadnienie. Przypominamy sobie, że Burgos w okresie wojny domowej było siedzibą rządu nacjonalistów. Klerik z ciekawością nie-kleryka przygląda się naszej słowiańskiej towarzysze podróży i lakonicznie uzasadnia, że tutaj nocleg jest niemożliwy, ale na calle Madrid jest sporo pensjonatów. Zeiste, „pension” w Hiszpanii, skrzyżowanie hotelu z restauracją to najlepsze i stosunkowo najtańsze miejsce, gdzie można przenocować. Odnajdujemy więc takową „pension” na wskazanej ulicy. Gospodyni — kwintesencja podejrzliwości — może oczywiście wynająć pokój po cenach przystępnych. Dla pary małżeńskiej, naturalnie, „con la cama de matrimonio” — z łóżem małżeńskim, pod warunkiem wskazania, że małżeństwo odpowiednimi dokumentami zostanie udowodnione. Wszystko stwarza tu nieśrodek intymności. Hotelik jest mały. Będąc na korytarzu ma się wrażenie, że jest się już bez mała w syplalni. Wchodząc do małego pokoiku (dwa krzyże plus profil gen. Franco na ścianie), ma się wrażenie, że jest się już w łóżku. W kuchni, skąd bije zapach oliwy, jest się już bez mała w szafie gospodyni.

Po korytarzach snują się ubrane na czarno pikolady i stateczne kobiety. Smutne, odpychają swoją obojętnością i chłodem. Co chwila ktoś dzwoni do drzwi. Przybyśże, najprawdopodobniej z prowincji. Wszystko w czerni. Usadawiam się w korytarzu przy stoliku, na którym rozrzucone kilka ilustrowanych czasopism. Wyświetlone na karcie tytułowej jednego z nich pełne nazwisko szefa rządu hiszpańskiego. „S. E. el Jefe del Estado — jego Ekscelencia — szef rządu nazywa się don Francisco Franco Bahamonde. Najczęściej spotykane koło jego nazwiska epitet to: „liberador de la patria” oraz „forjador de la Nueva Espana”, a także „Primer Magistro”, „Su Excelencia el Jefe del Estado y Generalissimo de los Ejercitos” oraz, oczywiście, najczęściej spotykane określenie „El Caudillo” (wódz). W jednym z czasopism, z kwietnia br. opisano uroczystości związane z „25-ą rocznicą wyzwolenia Hiszpanii, rocznicą pokoju i dobrobytu” (XXV anos de Paz y de Prosperidad”). Z tej okazji odsłonięto w Walencji pomnik gen. Franco. Oto fragment przemówienia:

„Wódz Zwycięstwa (El Caudillo de la Victoria) w ciągu tych dwudziestu pięciu lat był Wodzem naszego Pokoju, który właśnie obchodzimy. Jego inteligencja i niezłomność zlamaly spisek, poprzez który inne narody chciały wpędzić nas w niezrozumiały błąd i niesprawiedliwość. Wleczna i szczerza wdzięczność Wodzowi”.

4.

Te przypominane cytaty są dzisiaj całkiem jeszcze na czasie, albowiem ludzie rządzący Hiszpanią w sposób zręczny eksploatują okrucieństwa wojny domowej, wygrywając zresztą dla siebie, odpowiednio podsycając nastroje strachu przed ewen-

DWADZIEŚCIA LAT ŁÓDZKIEJ WFF

Dalszy ciąg ze str. 1

ma. Płonące miasto i eskimoskie igloo lodowe, broń Mojżesza i wąż Franczka Józefa. Wytwórnia zatrudnia niemal tysiąc fachowców różnych zawodów i specjalności. Posiada cztery duże hale zdjęciowe i jedną małą halę do zdjęć trikowych o łącznej powierzchni 2518 m kw. Obszar wytwórni wynosi 3,2 ha. Wytwórnia zdolna jest wyprodukować 15-18 filmów rocznie. Można w niej kręcić jednocześnie siedem filmów czarno-białych, kolorowych lub panoramicznych. Zdolność produkcyjna wydziału obróbki taśmy sięga 7 milionów metrów bieżących. WFF należy do klasy średnio-dużych wytwórni. W skali europejskiej jest jedną z lepszych i nowoczesniejszych. Wykonywała już usługi dla filmów radzieckich, czosłowskiach, niemieckich, włoskich, francuskich, amerykańskich, a także dla Finlandii. Wbrew mniemaniu koszty produkcji polskich filmów są, w porównaniu z kosztami innych krajów naszego obozu, mniejsze. Wytwórnia w dalszym ciągu się rozbudowuje, unowocześnia i modernizuje.

IMPERIUM DŹWIĘKU

Jest to jeden z najważniejszych działów wszystkich wytwórni, oczywiście, od czasu narodzin filmu dźwiękowego. Niejednemu z obecnych filmów, gdyby go pozbawić dźwięku, byłoby absolutnie niezrozumiałym. W filmach polskich, gdzie się wyjątkowo wiele strzela, jeszcze więcej mów, detonacji, huków, wrzawy, łomoty, krzyki, wrzaski i przejmujące szepoty odgrywane niepoślednią rolę. Zaklęte one są w fonotece wydzielu techniki i montażu. Można tam odnaleźć huk pioruna i szmer deszczu, śpiew słowika i warok traktora, krzyki pili, oddech niedźwiedzia, echo gór i wybuch bomby.

Dźwiękowcy wchodzą do akcji już w momencie próbnych zdjęć do filmu. Badają głos i dykcję aktorów, lub statystów. Następnie operatorzy dźwięku technicy i mikrofonistę nagrywają dźwięk w okresie zdjęciowym. Najtrudniejszą pracą przypada jednak na okres montażu i udźwiękowienia już po samych zdjęciach. Jeśli na obrazie filmowym widzimy jak w przylutym pokoju rozmawia dwójka młodych ludzi, gra radio i czynny jest wentylator, a z ulicy dochodzą odgłosy przejeżdżających samochodów, każdy z tych dźwięków nagrywany jest oddzielnie. Czasem może występować jednocześnie nawet dwanaście różnych dźwięków.

TYM PRZEDSIĘBIORSTWOM DAŁA POCZĄTEK WFF

- 1932 — Łódzkie Zakłady Wytwórcze Kopii Filmowych
- 1954 — Wytwórnia Filmów Fabularnych nr 2 we Wrocławiu
- 1955 — Studio Opracowań Filmów w Łodzi
- 1956 — Studio Małych Form Filmowych „SE-MA-FOR” w Łodzi
- 1956 — Studio Filmów Rysunkowych w Bielsku

V-2 NAD SZWECJĄ

Winston Churchill, premier Wielkiej Brytanii z okresu drugiej wojny światowej, w swych 6-tych pamiętnikach, wydanych pod wspólnym tytułem „The Second World War” pisze:

— Wiedzieliśmy, co nas czeka. Dotarli do nas kompletne części rakiet V-2...

To zdanie jest identyfikowane z jedną z najbardziej karkołomnych akcji polskiego ruchu oporu. Wyczyn miał coś z zagony pana Wołodjowskiego i forielu Zagłoby. Nawet powściągliwy Zacheł nie krył podziwu. Kilka lat temu łódzkie ki-

na obieg angielski film — tytułu już nie pamiętam — traktujący właśnie o tym brawurowym przedsięwzięciu. Gdzieś w głębi Polski spadła wskutek defektu próba rakiet V-2. Zrodził się plan tylży smiały, co dla ówczesnej ryżownicy — przesiadki rakiet w całości do Londynu. Wice rakietę ukrył oddział partyzantów. Po pewnym czasie na lesie; polanie opuścił się samolot wojskowy RAF-u.

Partyzanci, ubrani w XIX-wieczne stroje purytanów z Nowej Anglii, władowali skrzynie na pokład i dano znak do startu. Czas był wielki, gdyż w kilka minut potem przybyli na miejsce niemieccy motocykliści. Happycend i tak dalej. Film zawierał jakieś elementy westernu, ale wszystkim i tak bardzo się podobał. Patrząc tylko, Anglikom jednak nie zapomnieli...

Zupełnie inaczej wszelako przedstawia kwestię przechwylenia rakiet V-2 zachodniomemiecki „Bild am Sonntag”.

Ponoć reporter tego czasopisma wpadł na trop tajemnicy, strzeżonej do ostatka przez szwedzkie władze bezpieczeństwa. Relacja brzmi wiarygodnie, choć nie jest pozbawiona nutki sensacji.

„Robert Gustafson, żdręt, jego syn również zasłynął w osłupieniu. Z oddali dolatywały niesamowite loskoty. Zdawało się, że hen, wysoko, rozdźwięk się w kawałki samolotu. Raptem z chmur zsunęło się błyszące cielsko pojązdu o wydłużonym kształcie. Rozległ się huk, jakby w pobliżu pekił kocioł wysokiego ciśnienia — w jednej chwili gwałtowny podmuch powietrza zwałił z nóg obu chłopów, także ich konia.

Gustafson szybko przyszedł do siebie, zebrał się na odwagę i ruszył do miejsca wybuchu. Ujrzał lejkowaty krater, z którego unosił się dym. Zauważył też szczytki dziwnego aparatury. Po krótkiej naradzie z synem, Gustafson, niewiele myśląc, pognał do Estergera, który piastował godność wieskiego policjanta. Esterger doniósł o wszystkim Andersenowi, który znowu był szefem rejonowej służby bezpieczeństwa.

Wypadki nabrały teraz rozmachu. Andersen wystąpił do Gredaala 90 agentów — ci otoczyli krater ścisłym kółem. Tymczasem komendant pobliskiej jednostki wojskowej zdażył zawiadomienie o zagadkowym zdarzeniu najwyższe czynniki rządowe. Jeszcze tego samego dnia — 13 czerwca 1944 roku — udała się ze Sztokholmu do Gredaala grupa ekspertów zbrojeniowych.

Rejon w promieniu kilkudziesięciu kilometrów od Gredaala ogłoszono jako zamknięty. Na drogach stanęli policjanci złączni posterunkami w jeden kordon. Na łakach, pastwiskach, wśród zbóż pojawili się tajni agenci, którzy jak jubilerzy ze szkłem w oku, brodzili tu i tam, przeglądali każdy metr kwadratowy gruntu. Z oddalm stali, rury, blachy, przewody, zrekonstruowano komory spalnowe, przyrządy nawigacyjne, także inne zespoły rakiet.

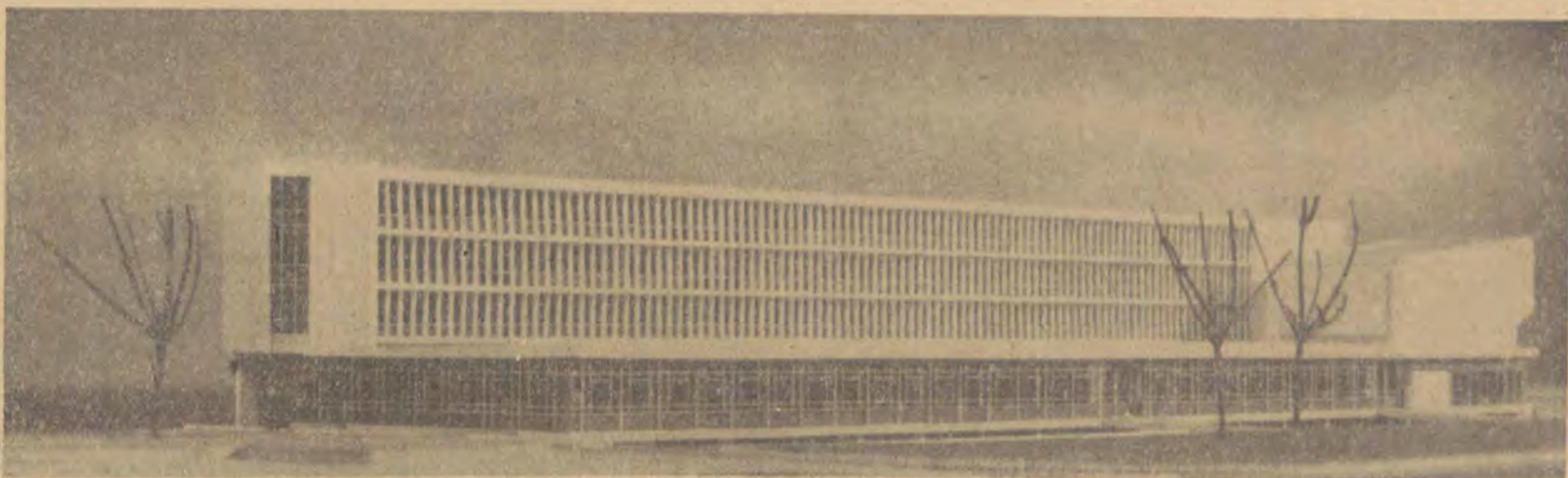
Na Szwecję spadła rakietka, co do tego rzeczoznawcy nie żyli już ciemną wątpliwością. W tym momencie dał o sobie znać kontrwywiad niemiecki. Przez Gredaala przejechał karawan. Nie nad-

zwyczajnego, widocznie ktoś we wsi umarł. W drodze powrotnej czarnej wehikuł wzbudził jednak podejrzenia. Powóz zatrzymano na skrzyżowaniu, policjanci zajrzeli do wnętrza. Zamiast mar na zabójnym katafalku spotarli nieleży skład części nieznanego maszyniarz. Wydało się, Niemcy dokonali kontraktacji. Po cichu, niezauważenie, zebrał z pol „co ciekawsze detale” rakiet, by je układować w pewnym schowku, z dala od ludzkich oczu.

Kontruderzenie nie powiodło się. Zespoły niemieckiej rakiety sfotografowano w laboratorium armii szwedzkiej w Sztokholmie, opisano je, zanalizowano, po czym skrzętnie złożono w pakietach. Po kilku dniach kole stolicy Szwecji wyładował angielski samolot wojskowy pilotowany przez pułkownika Allena. Znalazł on w tym miejscu skrzętnie i Allen, nie zwlekając, podniósł wielki transportowiec z pola startowego. Ale i tym razem wywiad niemiecki poczuł pismo nosem.

Transportowiec wpadł nad Norwegię w koncentryczny ogień niemieckiej artylerii przeciwlotniczej. Natknął się też na nieprzyjacielskie „Messerschmidty”. Udało się. Ciężka maszyna zeszła na jedno z polowych lotnisk w Szkocji bez szwanku. Uplynęło kilka dni. Wreszcie angielski sztab powiadomił Churchilla, że Niemcy istotnie rozporządzają nową bronią. Ta broń może spowodować nieobliczalne spustoszenia w gestie załadowanych okręgach przemysłowych południowej i środkowej Anglii.

8 września na Wielką Brytanię upadła pierwsza rakietka V-2. Hitler zamachnął się nią na „perfidny Albion”. Latające bomby miały przetrząść Anglię kark, zetrzeć Londyn z powierzchni ziemi. Spodziewany szok nie nastąpił. Co miało być absolutnym zaskoczeniem, okazało się dla rządu na Downing Street czymś od dawna spodziewanym. W międzyczasie rząd szwedzki wystosował do Berlina protest. Berlin wyraził zdziwienie i umyły ręce. Tragedii przecież nie było, żaden obywatel szwedzki nie odniósł uszczerbku. Rakietka nie dzwigała ładunku wybu-



Makieta strony południowej Wytwórni.

ZARYS HISTORII I DORÓBEK WYTWÓRNI W XX-LECIE

- 1945 — Wytwórnia Filmowa Wojska Polskiego obejmuje w posiadanie halę sportową w parku im. Księcia J. Poniatowskiego i adaptuje ją do potrzeb produkcji filmowej.
 - 1946 — Rozpoczynają się zdjęcia do pierwszego, powojennego filmu fabularnego pt. „Zakazane piosenki”.
 - 1948 — Oddana zostaje do użytku II hala zdjęciowa.
 - 1950 — Oddana zostaje do użytku III hala zdjęciowa i blok warsztatów produkcyjnych.
 - 1952 — W nowym budynku rozpoczyna pracę wydział obróbki taśmy.
 - 1953 — Wytwórnia kończy realizację pierwszego filmu barwnego pt. „Przygoda na Mariensztacie”.
 - 1956 — Następuje podział organizacyjny Wytwórni. Rozpoczynają pracę zespoły realizatorów filmowych.
 - 1959 — Powstaje budynek zarządu Wytwórni.
 - 1960 — Oddana zostaje do eksploatacji IV hala zdjęciowa wraz z halą montażową do budowy dekoracji.
 - Zakończona zostaje czesłowa budowa głównego budynku Wytwórni mieszczącego Zespoły Realizatorów Filmowych, Grupy Zdjęciowej oraz Wydziały: Inscenizacji i Techniki Oświetlenia.
 - Na ekranach ukazują się pierwszy polski film barwny, szerokoekranowy „Krzyżacy” reż. Aleksandra Forda, wyprodukowany całkowicie w WFF metodą Eastmancolor.
 - 1961 — Mały jubileusz. Już 100 filmów fabularnych ma w swoim dorobku WFF.
 - 1964 — Budowa głównego gmachu Wytwórni jest całkowicie zakończona. Atelier opuszcza 141 film fabularny.
- STYCZEŃ 1965 R. — Uroczystość XX-lecia istnienia Wytwórni Filmów Fabularnych w Łodzi.

tylko materiały wybuchowe, lecz także operuje się dużą ilością broni, amunicji i sprzętu wojskowego. Wytwórnia posiada w tym celu specjalną zbrojownię, w której znajduje się duży zestaw broni z ostatniej wojny, broni typu „u-zealnego, poza tym broń pancerna, rzadko spotykane transportery amerykańskie i krucce z XVIII wieku, a także czołg, który był swego czasu własnością szczyściarza Antoniego. WFF jest jedynym tego rodzaju ośrodkiem w kraju i świadczy usługi pirotechniczne pozostałym wytwórniom oraz wszystkim teatrom i telewizji.

Do dość często stosowanych efektów w polskich filmach należą odpryski pocisków karabinowych i pistoletowych, które wykonywane są na rekwizytach jak również na aktorach i statystach. Wtedy ciało aktora lub statysty pokrywa się miękką blachą ołowianą pod kostiumem. Mimo tych zabezpieczeń dla dokładnego zsynchronizowania strzałów z bronią z efektami odprysków wymagane jest z jednej strony duże opanowanie aktora jak również rutyna i doświadczenie ze strony pirotechnika. Pirotechnik tylko raz w życiu się myli.

KRÓLESTWO CIUCHÓW

Jeśliby w Łodzi z okazji XX-lecia WFF odbył się bal maskowy Wytwórnia zdolna jest ubrać w kostiumy z różnych epok i stylów 100 tysięcy osób. W tym 40 tysięcy osób otrzymałoby kostiumy wartościowe sięgające nieraz do 10 tysięcy zł. Istnieje na terenie Wytwórni skład kostiumów stylowych,

współczesnych i wojskowych. W magazynie kostiumów stylowych znajdują się szuby, delie, kontuse, sukienki księżny Mazowieckiej i sukienki paniątki z okienka, oraz stroje biskupów, magnatów, królów, ksiąząt, hajduków, pajuków, rycerzy, knechtów, mieszczan krakowskich i gdańskich mieszczek. W magazynie ubiorów współczesnych wiszą fraki i smokingi, garnitury jedno i dwurzędowe, welwetowe marynarki i sztruksowe spodnie, stoją szpilki i kamazse, buty z cholewami i trepy więzienne, suknie z dekoltem i dla kobiet ciężarnych, welniaki łowieckie i mundurki szkolne, studenckie czapki i skóra białego niedźwiedzia. Słowem cała kolekcja mody, lansowana przez Barbarę Hoff z „Przekroju”. Większość z nich powstała w pracowniach krawieckich kierowanych przez znakomitych mistrzów — Julię Plutę i Mieczysława Krasonia.

W magazynie ubiorów wojskowych dominują mundury oficerów i żołnierzy polskich, radzieckich i niemieckich. Ale także hiszpańskie, francuskie, amerykańskie, włoskie, i inne.

To jednak nie wszystko. Do królestwa ciuchów należą rekwizyty domowe, wszelkie sprzęty kuchenne, z książeczek salonu, a także mogą być dla urzędnika biura Towar-

zystwa Świądomego Macierzyństwa i tajnego domu schadzek, restauracji I, II i III kategorii, jak również dla żłobka i przedszkola. W każdej chwili można z rekwizytów, będących w posiadaniu Wytwórni, urządzić buduar dla madame Pompadour i celę dla mnicha, gabinet dla komendanta straży ogniowej i biuro pisania podań, salę sądową lub porodową. Ponadto znajduje się tutaj kolekcja obrazów średniowiecznych, portrety Piłsudskiego, Hitlera, Mussoliniego i innych postaci historycznych. Obrazy abstrakcyjne i takie, które się kupuje pod Jasną Górą. Lalki, zegary, fotele, telefony, biurka, kanapy, krzesła, łóżka, słowem prawie wszystko co człowiek stworzył, posiadał lub posiada w mieszkaniu, od gramofonu i zegara z kukłką do telewizora i lodówki. Dochodzi do tego jeszcze przebogata kolekcja biżuterii współczesnej i antycznej. Sam „Faraon” dostarczy kilkadziesiąt kilogramów przeróżnych świecidełek.

OFICJALNY SŁOWNIK FILMOWY

kadr — jedno ujęcie, klatka
dubel — powtórzenie ujęcia
klaps — oznaczenie kolejnego ujęcia
forspan — zwiastun
plan — miejsce realizacji zdjęć.

MATERIAŁY FILMOWE PRODUKCJI WYTWÓRNI EKSPORTOWANE SĄ DO 72 KRAJÓW ŚWIATA

Albania, Austria, Belgia, Bułgaria, Czechosłowacja, Dania, Finlandia, Francja, Grecja, Hiszpania, Holandia, Irlandia, Islandia, Jugosławia, Luksemburg, NRD, NRF, Norwegia, Portugalia, Rumunia, Szwajcaria, Szwecja, Węgry, W. Brytania, Włochy, ZSRR, Afryka Zachodnia i Równikowa, Francuska, Algieria, Argentyna, Australia, Boliwia, Brazylia, Burma, Chile, ChRL, Cypr, Egipt, Etiopia, Filipiny, Ghana, Hongkong, India, Indonezja, Irak, Iran, Izrael, Jamajka, Japonia, Jordania, Kanada, Kenia, Kolumbia, KRL-D, Kuba, Liban, Malajza, Republika Malgaska, Maroko, Mongolia, Meksyk, Nowa Zelandia, Pakistan, Paragwaj, Peru, Rodezja, USA, Tunezja, Uganda, Unia Południowej Afryki, Urugwaj, Wenezuela, WRD.

KAROL BADZIAK

W 20-lecie w WFF nakręcono ogółem 141 filmów fabularnych z czego 119 czarno-białych (109 standardowych i 10 panoramicznych) oraz 22 barwne (17 standardowych i 5 panoramicznych).

Wysiedleńcy

Matka przypinała właśnie gałązkę widłaka do białego obrusa na kuchennym stole, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

Weszło dwóch cywilów w błyszczących butach z cholewami, za nimi wkroczył w niebieskim mundurze policjant, zwany przez nas z racji sterującego nad helmem basiora — „kogutkiem”.

Wszyscy spojrzeliśmy na ojca. Wiele jednak przyszli po niego, i to w Wielką Sobotę. Folksdojczka z dołu odgrażała się nie naderemnie.

Tuż przed wojną ojciec miał zatarg z jej synem, dwudziestoletnim dryblasem, który był na utrzymaniu matki i tylko czasem łapał na sprzedaż gołębie. Któregoś dnia ojciec niósł z komórki białę, bo matka miała robić pranie, biała była ciężka, Niemczak stał w przejściu i ani myślał ustąpić. Na widok ojca zaparł się mocno w drzwiach. Wtedy ojciec postawił białę i uderzył go w twarz.

Cywil z policjantem przeszli bez słowa do pokoju. Jakby nas nie dostrzegali. Rozglądali się tylko po mieszkaniu.

Teraz wymieniali między sobą kilka słów, dźwięk wznoszący się do góry, to zrozumiałem, gehen wir weiter, zakonkludowali.

Wyszli. Matka usmiechnęła się blade. Ojciec odzwajał jej się takim samym uśmiechem. Nie nie mówili, wiedziałem jednak, co chcieli powiedzieć. To dobrze, że składali na ten domek. Do tej pory robili sobie wymówki, że przez wiele lat ciułał, że matka liczyła się z każdym groszem, a potem przyszła wojna i pieniądze przepadły. Gdyby nie oszczędzali i kupili nowe meble, zostalibyśmy niechybnie wysiedleni. To dobrze, że składali na ten domek.

Podszedłem do okna. Cywil z policjantem przeszli jezdnią i zatrzymali się przed domem, stojącym naprzeciw naszego domu. Pukali do drzwi tapicera, który mieszkał od frontu na parterze.

Nie wiem dlaczego, ale pomyślałem wtedy o tej drugiej kobiecie. Znalłem przecież tapicera i jego żonę, wiele razy widywałem z okna ich chude, żyłaste sylwetki, byli zresztą do siebie bliźniaczko podobni, mieli jednakowo sterzące, długie nosy, a pomyślałem o tej drugiej kobiecie, o której rodzice mówili kiedyś między sobą, że jest kochanką tapicera, a która była całkowitym przeciwstawieniem jego żony. Nieduża, okrągła w kształtach, zawsze roześmiana, emanowała szczególnym ciepłem, nieznanym dla mnie i tym bardziej mnie niepokojącym.

Trzej Niemcy wyszli z mieszkania tapicera i zniknęli w sąsiednich, frontowych drzwiach. Długo nie wychodzili, zdążyłem zejść na dół, a oni ciągle byli w tym mieszkaniu. Wreszcie na ulicę wyszła najpierw starsza kobieta w staromodnym kapeluszu i w ciemnym płaszczu, była to właścicielka kamienicy, w rękę trzymała torebkę i niewielki pakunek, za nią pojawił się jej mąż z nieco większym tobołkiem, zawiązanym tak, jak się wiąże bieleńce do magła. Kobieta skinęła na mnie, chodź z nami, powiedziała, powiesz mojej rodzinie, dokąd nas zaprowadzą.

Zatrzymaliśmy się przed wysoką, starą kamienicą w sąsiedztwie rynku, długo wchodziliśmy po kamiennych, poobłupianych schodach. Jeden z cywilów wyjął klucz i otworzył drzwi do mieszkania na czwartym piętrze. Weszliśmy do dużej, ciemnej izby, na środku, której stał na taborecie drewniany ebezyk z mydlinami i niedopraną bieleńcą. Na ścianie wisiał zegar, obok odrapany kredens, na nim nadmuchany talerz z resztkami jedzenia. W kącie porzucona, brudna, szmaciana lalka. Typowe mieszkanie żydowskiej biedoty, jego właściciele trzymali z pewnością stragan na rynku.

Od mydlin w ebezyku szedł kwaśny odor, wysiedlone małżeństwo popatrzyło najpierw na ten ebezyk, potem na kredens i na lalkę, wreszcie na siebie i — skierowało się w stronę drzwi. Cywil z kluczem wyjaśnił im łamaną polszczyzną, że jeśli nie chcą tu zamieszkać, pójdą do lagru, a potem zostaną wywiezieni do Generalnej Guberni.

Powtórzył to mojej rodzinie — powiedziała stara kobieta, zwracając się do mnie. — Wiesz przecież, gdzie mieszkał mój brat i siostra. Wiesz, prawda? Pod słodnym na naszej ulicy.

Zaduszki

Przy tych dwóch grobach zbierała się w dzień Zaduszek cała rodzina. Wpływałem na cmentarz z rodzicami, niesiony przez fałd ludzki, fala była ciemna i gęsta, gesta do tego stopnia, że można było w niej zapaść i płynąć z nogami zawieszonymi nad chodnikiem.

Odpadałem dopiero w bocznej alei, gdy fala się rozstąpiła. Dalej jednak nie wiedziałem, dokąd plynę, bo w oczy uderzała mi teraz mroglawa iluminacja tysiąca lampek i świeczek, tworzyło połyskliwą tafię, po której prześlizgiwałem się nad grobami.

I wreszcie te dwa groby, a przy nich gromada cieni. Groby pradziadków, bliższej rodziny nie mieliśmy wiedzy na cmentarzu.

Stoję teraz sam przy tych grobach, na miejscu pradziadków zostali pochowani dziadkowie, dwa starsze groby bujnie obro-

dziły w ostatnich latach. W sąsiednich alejach leżą w ziemi ich owoce.

Na grobie dziadka dopala się żółta lampka, jej płomień małeje gwałtownie jak płomień przykręcaniej lampy naftowej.

To dziadek zawsze przykręcał tę lampę. Pod koniec wojny chodźłem co kilka dni do dziadków po pracy. Z mieszkania na pierwszym piętrze, gdzie było światło elektryczne i częściowe wygody, zostali przesiedleni przez gospodarzy — folksdojczów na drugie piętro. Wchodziło się tam po drewnianych schodach, już z daleka uderzał w nozdrza zapach kiszzonej kapusty, trzymanej w beczkach na górnym korytarzu. Siadałem z dziadkami przy stole, na którym stała okopcona lampa naftowa, piliśmy gorącą herbatę i rozmawialiśmy o rodzinie, wywiezionej na roboty do Niemiec. Babka martwiła się bardzo o kuzyna — jej wychowanek, który pracował w fabryce samolotów pod Berlinem. Martwiła się bardziej niż o jego matkę, a swoją córkę. Już od drzwi dożytywała się, czy kuzyn pisał do mnie i czy były jakieś nowe naloży na ich fabrykę.

Dziadek — chudy, kościsty, mrukiwy — podsuwał mi tylko cukier do herbaty. Rękę miał suchą, sekatą, przywodzącą na myśl chropawy konar gruszy — i chyba dlatego w parę lat później, już po śmierci babki, nie mogłem się nadziwić, że ta ręka zakwitła. Pisał mi listy, miłosne do jakiejś kobiety poznanej na cmentarzu, kobieta odpisała mu i wsunęła list przez szparę do komórk, widocznie tak się umówili. List przeleżał jednak mieszkającą przy dziadku rodziną. W następstwie tego faktu rodzina wzięła dziadka pod ścisłą kuratelę, która okazała się bardzo skuteczna: w kilka miesięcy później dziadek dokonał żywota.

Prawdziwy kłopot był z trzyletnim prawnikiem dziadka, który przez cały czas pogrzebu zasypywał matkę bardzo głośnymi pytaniami: dlaczego dziadka kładą spać w butach, dlaczego przysypiają go piaskiem, i — mam — kiedy dziadkuś się wyśpi, to jak on właściwie wstanie?

Córka sąsiadki

Po tym, co się stało, przemyślałem się pod drzwiami sąsiadki z przynębiającymi uczuciami wstydu. Stapałem na palcach, trzymając się drewnianej poręczy, i dopiero na ostatnim stopniu kamiennych schodów odchyliłem głębiej i swobodniej.

Tak działo się przez długi czas, do wojny, a nawet i we wojnę, gdy jej już za tymi drzwiami nie było. Zdałem sobie sprawę z tego, że jej już tam nie ma, wśród sąsiadów mówiło się szeptem, że należała do jakiejś tajnej młodzieżowej organizacji i którejś nocy zabrała ją gestapo, zakazując rodzinie pisać o tym choćby słowem. Zresztą jej matka, prosta, zastrachona kobieta, i tak nie powiedziała o tym nikomu, a tym bardziej nie powiedziała jej siostra, sparaliżowana i do tego głuchoniema. Słyszałem czasem dochodzący zza tych drzwi jękliwy bełkot głuchoniemej, wiedziałem, że w dzień tej tam już teraz sama, a mimo to przemyślałem się korytarzem jak złodziej.

Na kilka dni przed Bożym Narodzeniem rodzice wybrali się do miasta za sprawunkami, prosząc starszą ode mnie o parę lat córkę sąsiadki, by pobyła przez ten czas ze mną i z bratem, Henryką (tak miała na imię), podrasztającą już wtedy panną, przyszła do nas i próbowała zająć nas jakąś zabawą. Nic z tego jednak nie wychodziło, brat, czterolatek indywiduista, wszedł na znak protestu pod stół i nie można go było stamtąd wyciągnąć. Nie udał się chińczyk, krótko trwała gra w ruletkę, wreszcie córka sąsiadki chwyciła się ostatniego sposobu i zaczęła czytać na głos książkę, którą przyniosła ze sobą. Były to „Przypadki chłopca okrętowego”. Pod stołem zapanała cisza, teraz ja jednak zacząłem okazywać swój sprzeciw, chyba zresztą dla samej zasady, bo książka była interesująca. Usiłowałem wyrwać ją z rąk Henryki, a kiedy to mi się nie udało — wszedłem na oparcie krzesła, na którym ona siedziała, i próbowałem ją z tym krzesłem przewrócić. Henryka opędała się jedną ręką ode mnie, w drugiej ręce trzymała otwartą książkę i nie przestawała czytać. Wtedy właśnie, stojąc wciąż nad nią na oparciu krzesła, doprowadzony do ostatniej wściekłości, schyliłem się nagle i pocałowałem ją w szyję.

Henryka wyprostowała się w krześle, nie drgnęła jednak i czytała książkę dalej, głośno tak samo naturalnym jak do tej pory. Zsunąłem się z oparcia krzesła i stanąłem cicho za nią, byłem jej wdzięczny za ten głos, mogłem w nim ukryć swoje przerażenie. Czulem ciągle ostre zapach jej włosów, połączone z zapachem skóry, którą na szyi miała lekko brunatną, tak pachną włosy i skóra brunetki. Wtem o tym teraz, wtedy nie mogłem tylko ochłoniąć z przerażenia.

Wśród upominków gwiazdkowych znalazłem dobrze mi znaną książkę z podpisem Henryki. A potem przyszła wojna i Henrykę aresztowano. Przepadła bez wieści, w jakiś czas później zmarła jej głuchoniema siostra. Książka wywedrowała również gdzieś z domu, najmłodsza siostra — siostra, pożyczyla ją którejś koleżance, koleżanka — znajomej koleżance. W ten sposób trop zaginął, książkę uznałem za straconą. Wkrótce też o niej zapomniałem.

Wróciła do mnie po latach, bardzo zniszczona, z postarzałymi kartkami. Kolega szkolny pożyczyl ją synowi mego byłego kolegi, ten zaś — przeczytawszy umieszczoną na niej dedykację wraz z moim nazwiskiem — odesłał mi ją pocztą do domu. Ja jednak jestem przekonany, że to nie on był nadawcą tej książki. Chociaż jak może nadac książkę ktoś, kogo już nie ma pośród żywych?

Sen

Do tego ogrodu przechodziło się przez dziurę w płocie. W środku stał przysadzisty, rozkraczony, piętrowy drewniak, którego deski mocno pociemniały ze starości. Mieszkali tam jacyś ludzie, wieczorem dochodziły stamtąd odgłosy śpiewów — w jednej z sal na parterze odbywały się próby chóru.

Rzadko kiedy jednak zabawiliśmy tam do wieczora. Matki wołały nas wcześniej na kolację, niewiele dawło chowanie się za drzewami, i gdy któryś z kolegów ukradkiem przekształcił się w stronę płotu — reszta też wkrótce dawała za wygraną.

Ogród był rajem na miarę przedmieścia, miał też swoje rajskie jabłka. Rosły tam również potężne drzewa kasztanowe, których świeżo wyluskane owoce rozszerzały nam z zachwytem żrenice i przydawały im złotawej barwy i połysku, ale barwa ta i połysk szybko matowały i kasztany szły do kąta.

Inaczej rzecz się przedstawiała z rajskimi jabłkami: jabłoń była tylko jedna, jabłek rodzila niewiele i bardzo niechętnie pozbywała się swych owoców. Każde takie miniaturowe jabłuszko trzeba było stracić z drzewa. No, a skoro już się straciło, należało je zjeść.

Bratem jabłuszko do ust i gryzłem je z namaszczeniem na oczach kolegów, ale gdy tylko oni zajęli się strącaniem — wypływałem cierpką miazgę w krzaki. Stanowczo smaczniejsze były czereśnie, nawet te różowe, przypominające zresztą wyglądem do złudzenia rajskie jabłka, ale matka przynosiła je z rynku i nie trzeba ich było nieczym okupywać.

Bo któryś raz okupiłem jabłuszko wysoką ceną: ceną krwi. Jeden z kolegów rzucił w jabłoń kawałkiem cegły, cegła odbiła się o konar drzewa i ugodziła mnie w głowę. Nie wiem, czego przeraziłem się bardziej: widoku krwi czy gniewu rodziców, którzy wielokrotnie przepowiadali mi taką przegodę. Wracalem więc po raz pierwszy do domu nie przez dziurę w płocie, ale okreśną drogą, trzema ulicami, znacząc każdą płytę chodnika czerwona cętką.

Czerwona była również woda w misce, w której ojciec umył mi głowę: matka na mój widok przeszła chwilemi krokiem do pokoju i osunęła się na łóżko. Czerwony był sen, w który później zmurozowany zapadłem. Śniła mi się ulica, którą wracalem do domu, letnie niedzielne popołudnie i wydłużona ulica przedmieścia, nad którą wielką czerwona miska wisiało upalne słońce. Mam tę ulicę dotąd przed oczami, malując ją ciągle na nowo współcześni malarze.

Szedłem pustym chodnikiem tej ulicy i w pewnej chwili zacząłem uciekać, bo ulica zwyżyla się gwałtownie i nagle wydało mi się, że chce mnie zadusić. Była to jedna krótka chwila, trwający moment krzyku podświadomości, leży on teraz głęboko przyspany warstwami późniejszych snów i zdarzeń, i tylko czasem dochodził mnie stamtąd tępy dźwięk, silumione echo odległego snu czy jawy.

Ryby biorą najlepiej z rana

Zdanie z młodzieżowego notatnika: „Nie powinienem mieć w życiu nikogo, to dla mnie zadanie ponad siły, niebezpieczeństwo przerażające moją odporność psychiczną”.

Odwoziłem rodzinę na podmiejskie wakacje samochodem ciężarowym, siedzieliśmy na tobołach z pościelą, obok grzechotał w worku węgiel i pobrzekiwały w kotle naczynia kuchenne. Gdy samochód skręcił na leśną, wyboistą drogę, symfonia naczyni osiągnęła stopień niepokojący, spoglądaliśmy na siebie z żoną tyle ubawieni, co przejęci obawą o szklanki i talerze, chłopak natomiast tylko się bawił, jego oczy pobłyskiwały w półmroku panującym pod brezentową plandeką. Świeciły w tych oczach ostre, nasłonecznione trawy, w których miał się zanurzyć za chwilę, czasem zamigotał błyskiem bruchem kielbik, umykający przed jego drapieżnymi palcami.

Samochód podskoczył jeszcze raz na zakręcie, potem usłyszeliśmy znane nam dobrze szorowanie gałęzi o plandekę i zatrzymaliśmy się na wprost drzwi wejściowych budynku letniskowego.

Wyskoczyłem z samochodu pierwszy, by razem z szoferem wyładować letni ekwipunek, robiliśmy to niezdarnie, potykając się za każdym przejściem o schodek werandy, szofer się śpieszył, to mnie denerwowało, a poza tym z kilku okolicznych budynków nadchodził już letnicy, by przypatrzyć się wypadkowi i zapytać, co nowego w naszej rodzinie. Wszystko to było dla mnie irytujące, zawsze drażniły mnie takie pytania, co gorsze, nie potrafiłem tego ukryć, żona wiedziała o tym i starała się jak najszybciej przejąć bagaż. Chłopak od razu gdzieś przepadł, nikt z nas się temu nie dziwił.

Wreszcie szofer wcisnął mnie w drzwi werandy z ostatnim tobołem, po chwili wróciłem i już zatrząskiwalem za nim drzwiczki szoferki, chcąc do niej wsiąść z przeciwnej strony. Wtedy właśnie usłyszałem krzyk syna, siedział w szoferce, by się jeszcze przejechać, drzwiczki przycięły mu dotkliwie palce. Wychodził powoli z szo-

ferki, ból go obezwładnił i sparaliżował go ruchy, pisał zduszonym, gardłowym płaczem i patrzył na mnie szklanymi oczami, w których ze zgrozą nie dopatrzyłem się wyrzutu. Spojrzałem na jego rękę, cztery palce przecinała równo sina szrama, a dnie głębokich wgłębień zaczęła się powłóczyć krew.

Zajęła się nim żona i zignorowani przez mnie letnicy, szofer wstąpił, lecz nagle do odjazdu, za chwilę pedziliśmy już z powrotem znową w stronę miasta.

W nocy długo nie mogłem zasnąć. Bałem się zresztą nie jawy, lecz snu: widziałem ciągle zmiażdżone palce syna. Zapaliłem lampę, wziąłem książkę, lecz zaraz ją ołożyłem. Połem zacząłem przeglądać różne szpargaly, trafilem na młodzieżowy notatnik i znamienne w nim zdanie. Wcisnąłem notatnik głęboko między skoroszyty szpargalami.

To chyba nie był sen, zobaczyłem naprawdę twarz syna, patrzyły na mnie nieruchomo jego szklane oczy. W miejscu gdzie są usta, przecinała tę twarz sina szrama.

Wstałem o świcie i pojechałem do rodzinnym pierwszym podmiejskim tramwajem. Sytuacja zobaczyłem na skraju wyboistej drogi, którą jechaliśmy wczoraj. Wybierał się na kibiki, w tym roku pierwszy raz wziął z sobą wędkę, a starszy kolega powiedział mu, że ryby najlepiej biorą z rana.

Powrót

Gdy jadę pociągiem, nigdy nie zastanawiam się nad niebezpieczeństwem jazdy po chłopcach, nie całkowicie obserwuję ludzi i krajobrazów. Dopiero przy wejściu na stację doznaję szczególnych niepokojów: każdy huk koła o zwrotnicę zaostrza moją czujność, stojąc w drzwiach wagonu sprężam się gotowy do skoku w razie wykolejenia.

Wracając z wakacji u ciotki pod opieką przynależnego pasażera. Na szczęście, opiekując się mną podróżny nie traktował swej roli zbyt poważnie, mogłem więc znów rozgarnąć trzciny na mokradle i stanąć oko w oko z wodnym rozlewiskiem, tak jak stałem tam godzinę przed odjazdem.

Pomarańczowe słońce dotknęło właśnie krawędzią powierzchni wody i tańczyło na niej jak piłka, lilie wodne wyciągały żółte główki nad leżące płasko na wodzie liście, jakby chciały wskoczyć na ich mięsiste blaszki wycięte w kształcie serca. Patrzyłem na to widowisko jak urzeczony, nie zważając na to, że czas płynie i ciotka zaczyna się na pewno denerwować.

Teraz już szybko pod kamiennym mostem, obok niskiego lasu świerkowego, którym zbierałem grzyby. A może by tak w niego nura i posuwając się na czworakach, wydobyć z mchu oblepionego ich wami maślaka, który nie wie, czy więcej pachnie: mchem, igliwem czy maślakiem?

Nie, nie ma już na to czasu, można tylko przystanąć na krótko i wziąć ten las świerkowy w siebie, skąd ta nagła potrzeba, skąd ten gwałtowny, nieznany skurcz krani — jakby w obliczu śmiertelnego zagrożenia? Otrząsam się z tego skurczu, zostawiam go na drodze i nie oglądam się za siebie, bose nogi skaczą teraz wśród krzewów jeżyn i trzciny na nie uważać, nawet już nie patrzę na jeżyny, czarne, ogromne, słodkie jak winogrona.

Stoję jeszcze chwilę w drzwiach wejściowych do domu ciotki, potem otwieram i zamykam, nie mogę przecież wiedzieć, że za parę dni nie będzie ani tych drzwi, ani tego domu.

Zęgnajcie, łaci wieczorne, na których grzelem w piłkę z kolegami, gra toczyła się według wszelkich sportowych reguł, była zacięta i nieprzejednana, zawsze po nim czulem piękny smak soli w gardle, grałem sam przeciw wszystkim, musiałem przeciwnie honoru mego miasta i jego młodzieży znowu drużyny, do której nigdy nie należałem.

Słychać gwizdek, to pewnie znów spałony, nie, to gwizdek pociąg kończący jazdę koła stuczoka o zwrotnicę, za chwilę wjeżdżamy na stację.

I nagle — huk jak przy wybuchu, pocim wypada z szyn, leżąc na drugim torze, leżąc poturbowany i patrząc zdziwionymi oczami w niebo, które rozpruła obcy samolot.

Przez ten otwór w niebie błyskawica tętniła jak pszczoły całe eskadry samolotów, spadała stamtąd konie z jeźdźcami czarnymi o prochu, jeden z jeźdźców ma czoło przewieszane skośnie brudnym, pokrąwionym bandażem. Pośpiesznym marszem przechodził nade mną piechurzy — ołowiani żołnierze, a ja, leżąc ciągle na torze, uczestnik katastrofy, której przecież nie było — uspokajam płaczącą dwuletnią siostrę, jestem teraz ojcem, który przepadał bez wieści, jestem matką, która rannego ojca szuka po wszystkich szpitalach. Ale nade wszystkim jestem tym samotnym kawalerzystą, który ma czoło przewieszane brudnym, pokrąwionym bandażem.

Jest lato, dworzec pełen dzieci szkolnych wyjeżdżających na wakacje, w oknie wagonu dwoje młodych trzyma się za ręce, ileż to czasu minęło, rok, dwadzieścia lat. Pociąg gwizdże, chciałbym nim się zabrać, ale nie mogę ruszyć się z miejsca: nogi mam ciągle przygniecione szynami.

Gdy uda mi się uwolnić, pojedzie, ale czy to ten sam tor, którym wracalem wtedy z wakacji? Nie ma tamtego toru, nie ma tamtego chłopca na tym torze. Wiem o tym dobrze, a jednak coś mi nakazuje jechać. Muszę jechać. Pojaję.

KOMENTARZ do heroicznej LEGENDY

Książkę — monografię Marii Czernerle o dejmowskim Teatrze Nowym (Teatr pokolenia, Wydawnictwo Łódzkie 1964 r. s. 221, cena 40 zł) odczytuje się z mieszanymi refleksjami. Z radością i z żalem. Pasmu smętku — odwołamy się najpierw — jest czysto lokalnego pochodzenia i da się skłonić do zwyczajnej szkody. Szkoda, że minęły na tych deskach „piękne dni Aranżerów” i że kto wie, kiedy znów nastąpią. Myśl gorzka, podgrzewająca jednocześnie uczucie triumfu, również miejscowego — tutaj teatr ten powstał i stał się nabrał wysokiego lotu — łagodzi powołanie się na starą prawdę, że w obrębie sztuki jedynie sztuka teatralna podlega tak bezwzględnej przemianie. W tej sytuacji pozostaje tylko ocalać jej słabość od zapomnienia, utrwalając jej kształty i barwy. Mała to zaiste pociecha, tym bardziej, że w wypadku Teatru Nowego nakaz ten zdaje się być przedwczesny albo zgola nie-

potrzebny. Przecież wszyscy odnajdujemy jeszcze w sobie blask i siłę szczególnych emocji, bo skurek pamięci zachował czule tamte wielkie wieczory jako zdarzenia nie- zwykłe, może przełomowe, a z pew- nością przełomujące się wówczas z naszym indywidualnym i społecznym życiem. Wystarczy tytuł sztuki, dość obejrzać zdjęcie, a wszyst- ko — czyż tak? — powraca jakby widziane teraz, w tej chwili. A jednak książki o teatrze, zwłaszcza o teatrze współczesnym, do któ- rego chodziliśmy i do którego na- dal odczuwamy potrzebę, są nie- zbędne, pomocne. Potrzebne. Jako opowieści budujące, czy jako piek- ne legendy dla reaktywizacji wra- żeń, dla prowokacji wyobraźni. Dla uświadomienia sensu i funkcji tego, co już stało się naszą in- telktualną i psychiczną własnością.

Nie cofam określeń, których wy- żej użyłem, ponieważ nie sądzę, aby obniżały wartość tego rodzaju prac; pisanie o teatrze jest zawsze wznoszeniem albo przechowywaniem szczególnie zniewalających młotów. I jeśli „Teatr pokolenia” rad hymn skłasyfikować jako „legendę”, wy- nika to bardziej z natury zjawis- kowej instytucji, jaka jest w gruncie rzeczy scena, niż z zabie- gów historyków teatru i krytyków, próbujących uparcie ze zmiennym wprowadzić powodem „odpowied- nie dać rzeczy słowo”. Podejmuję się tego trudnego zadania, Cz- nerle musiała pokonać, poza opo- rem, jaki stawiała sama materia przedmiotu, ów fluid specyficzne- go patosu czy wzniosłości, który nieustannie wdechamy, stykając się w ten czy w inny sposób z Tea- trem Nowym. A następnie — bli- skości czasowa jego dzieł, brak dystansu. Podziwiam inicjatorów

wydania książki — władzę miej- skie, TPE i PTN — że w tak krót- kim okresie udźwignęli swą decy- zję faktem. Któż zdołał się oprzeć ciśnieniu takiego tematu, któ- nie wpadnie natychmiast, dotyka- jąc dejmowskich przegród, w rytm głośniejszej admiraacji? Chociaż — przy- znam się — chciałbym kiedyś prze- czytać książkę, pisaną z pozycji antydejmkowskich. Ba! Czernerle jest, oczywiście, bardzo pro. Zdra- dza ją już styl, potoczny, glad- ki, wyhyty zająknię, które są często znakami dwuznaczności albo niepewności. Te zdania tępiają w- wnętrznym zaangażowaniem autor- ki, temperamentem krytyki i pu- blicysty, który nie tylko obserwo- wał i opisywał kolejne spektakle, ale także współuczestniczył żywo w bataliach Teatru Nowego. Dzie- ki temu książka nie jest suchą, beznamiętną relacją — odzwiercie- dławia właściwości pisarskie na- świetla jednocześnie m. in. weso- łe fazy dyskusji, jakie rozpęty- wały w naszej krytyce dejmkow- skie — i nie tylko — inscenizacje. Np. polemiki z Jaszcem wokół inscenizacji „Nie-boskiej kome- dii”, przedstawione nieco fenden- cyjnie, według osobistych poglą- dów autorki. Wejścia te, efekt pa- sji i porachunków krytycznych, mają smaczek marginesu, nie są tak istotne dla przeciętnego od- biorcy. Ten natomiast łatwo po- mknę przejrzyście zarysowanym tropem zdarzeń, od momentu sta- rnej grupy o otwarciu teatru aż do „Historii o Chwałebnym Zmarłych wstaniu Pańskim”.

Czernerle pokazuje zmienne ukła- dy sytuacyjne, wewnętrzne i ze- wnętrne, rzuca ten obraz na szer- okie tło stosunków społecznych i politycznych, określa ich wpływ

na płynny profil ideowo-artystycz- ny placówki w ciągu trzynastolet- niego istnienia. Jak wiadomo, ma- nifestuje się on przede wszystkim w akcie wczoraj, w realizacji scenicznej. Zarzucając nużące opi- sywactwo — podany na końcu ze- staw sztuk i obsad oraz spisy ze- społów daje sumaryczny ogólny ca- łości — autorka wlamuje się w co ważniejszy spektakl kluczem ana- lizy, docieka jego konkretnej wy- mowy w warstwie strukturalnej i sprawdza ją z reakcją publiczności. Tok jej rozważań, uwzględniają- cych zawsze aktualny moment hi- storyczny, potwierdził raz jeszcze że zdumiewająca wrażliwość Teatru Nowego na zwrotne sytuacje w naszym życiu zbiorowym, umiejęt- ność rozpoznawania, antycypowania i kanalizowania społecznych nastro- jów. Nie wszystkie wnioski wy- prowadzane z tych rekonstrukcji można przyjąć bez zastrzeżeń, po- nieważ dobór argumentów i meto- dę ich prezentacji służą z reguły dość jednoznacznym opiniom.

Dla mnie najciekawszym roz- działem jest portret K. Dejmkę, obfitujący w szereg spostrzeżeń o je- go dotychczasowej praktyce insce- nizatorskiej w opozycji do dzia- łalności L. Schillera (analogie w koncepcji teatru monumentalnego). Schiller rozpoczynał swą karierę inscenizatora w wieku, który Dej- mkę dążył przynieść sukcesy, zna- nie tylko w kraju i udokumen- towane już książką. Nie chcę przez to powiedzieć, że to za wcześnie — to świadczy chyba tylko o naszej zapobiegliwości.

„Teatr pokolenia”, pieczętując się wymuskany przez Wydawnictwo Łódzkie, zamyka w żarliwym tek- cie część pierwszą historii Teatru Nowego. Czy część najważniejszą?

Ze świata Nauki

KARIERA BIAŁEJ TABLETKI

Jest najpopularniejszym, najbardziej uniwersalnym i jednym z najstarszych leków świata. Po prostu lek-cud!

Już Hipokrates zalecał cierpiącym na jesiennie grypy- ki starożytnym Grekom zaży- wanie wyciągów z kory wierzbowej. Indianie podawa- li herbatę z wierzby chorym na reumatyzm i gorączkę. W 1763 r. angielski pastor Edward Stone od- krył lecznicze właściwości ko- ry wierzbowej na malarii. Wreszcie w 1853 r. Karol Fryderyk Gerhardt, dokonu- jąc eksperymentów z wyso- bionym z kory wierzbowej kwasem salicylowym, otrzy- mał kwas salicylowo-octowy i nie sprawdzając jego war- tości leczniczych odożył na półkę. Preparat przeleżał tam do roku 1890, kiedy to Fe- liks Hoffmann, pracownik firmy Bayer podał lek swo- jemu ojcu i odkrył, że re- umatyczne bóle dokuczają- ce uporczywie starszemu pa- nu ustąpiły nadszpiewanie- szybko i skutecznie. Dyrektor firmy Bayer, pan Henryk Dreser postanowił rzucić nie- zwłocznie lek na rynek świa- towa, nadając mu nazwę aspiryna.

Tak zaczęła się kariera bia- lej tabletki stosowanej w naj- różniejszych rodzajach scho- rzeń począwszy od banalnych przeziębień, a kończąc na ka- leczących zniekształceńach gościa stawowego. Nowsze ba- dania pozwalają przypusz- czać, że aspiryna może dzia- łać podobnie do hormonów, pobudzając nadnercza do wywołanego wydzielania. Również uważa się, że prze- ciwdziała tworzeniu nowych kamieni nerkowych u osób cierpiących na kamice.

Mimo tych badań trwają- cych od przeszło 65 lat do- dziś wiemy zdumiewająco mało o mechanizmie dzia- łań aspiryny. Jedno tylko jest niewątpliwie pewne — jest ona najtańszym lekiem świata.

MAREK BRONIKOWSKI



Przypomnienie Wyszomirskiego

Wraz z Janem Huszczą przygotowujemy do wyda- nia tom felietonów i szkic- ów Jerzego Wyszomirskie- go. W związku z tym przewertowaliśmy sterty czasopism i dzienników przed — i powojennych, bowiem jak wiadomo artyku- ły jego idą w setki, a nawet tysiące i trudności w dokonaniu odpowiedniego wyboru są niemałe. W Wil- nie (przed r. 1939) druko- wał Wyszomirski w „Sło- wie” i „Kurierze Pow- szecznym”, a także w war- szawskich „Wiadomościach Literackich” i „Gazecie pol- skiej” oraz w lwowskich „Sygnalach”. Po wojnie, mieszkając w Łodzi, za- mieszczał swoje prace w „Tygodniu”, „Dzienniku Łódzkim”, „Expressie Wie- czornym”, „Nowinach Lite- rackich”, „Twórczości”, „Kro- nice” i innych. Dotarcie do wszystkich jego artykułów i felietonów, rozszani po licznych dziennikach, jest już właściwie niemożliwe przede wszystkim dlatego, że niektórych gazet nie ma w ogóle w zbiorach biblio- tecznych.

Nawet najcenniejszy do-

robek, powierzony prasie codziennej, przepada dla potomności, jeśli nie ocali się go, przynajmniej czę- ściowo, w wyborach książko- wych. Ale skądinąd wia- domo, że nie wszystko, co publikuje się w prasie, wy- trzymuje próbę czasu i ma charakter trwały, zasłu- gujący na ocalenie. W przy- padku Jerzego Wyszomir- skiego zdumiała nas żywot- ność jego artykułów i fe- lietonów. Większość z nich, jeśli tylko autor nie uwi- klał się w doraźnych spo- rach i polemikach (a bar- dzo je lubił), jest czytelna po trzydziestu i więcej la- tach od momentu ich opu- blikowania.

Jerzy Wyszomirski wy- różniał się temperamentem publicystycznym, erudycją i piękną polszczyzną. W czasie czytania tych jego rzeczy towarzyszyły nam niewesołe na ogół reflek- sje. Mimo ogromnego roz- woju prasy codziennej, je- zyk dziennikarski zubożał i zszarzał. Lamy dzien- ników zalewa polszczyzna bezbarwna, nie zindywidua- lizowana. Jeśli pominąć pa- rę chwalebnych wyjątków

— język dzisiejszych gazet jest językiem wyjątkowo niedbalym. Otóż Wyszomir- ski odróżniał się od innych tym, że dbał o język, to znaczy o to, by pisać barw- nie, a jednocześnie ściśle i precyzyjnie. Sam wyla- gwał pracowicie w gazetach głupstwa i nieprawości, lecz jego błędów i omyłek nikt nie był w stanie wy- chwycić. Wyszomirski ich po prostu nie popełniał. Sta- rannie wykształcony, znał dobrze trzy języki europej- skie (rosyjski, francuski i niemiecki), a czytał w kil- ku innych. Nie rozstawał się nigdy ze słownikami Lindęgo i tzw. Warszaw- skim. Rozległość jego za- interesowań towarzyszyła sta- ła troska o piękną szatę słowną. Pamiętam jak zwier- ział się w czasie moich licznych odwiedzin w jego łódzkim mieszkaniu: — Często biorę do ręki pisma Sienkiewicza i czytam je na wyrwyki, gdziekolwiek, dla piękności ich języka. Sien- kiewicz pisał wspaniałą polszczyzną. Gdyby Prus miał taki język, byłby ge- niuszem.

W tym roku, w czerwcu, minie dziesięć lat od dnia śmierci Jerzego Wyszomir- skiego. Zmarł, licząc 55 lat, więc w wieku dla pisarza najlepszym, bo w pełni doj- rzości i ludzkiego do- świadczenia. Oprócz rozsia- nych po dziennikach i cza- sopsmach artykułów, felie- tonów i szkiców literackich, pozostawił po sobie wiele tłumaczeń dzieł literatury

pięknej, głównie i przede wszystkim klasyków rosyj- skich.

Przy ulicy Mickiewicza 8, na trzecim piętrze, mieścił się jego pokój, zawalony książkami, który Wyszomirski rzadko kiedy opu- szczał. Jedne rzeczy tłuma- czył z radością, sprawiał mu one prawdziwą satysfak- cję artystyczną (Czechow, Hercen, Gogol, Gorki), inne denerwowały go swoją nie- poradnością jak np. „Stienka Razin” Ziobina, powieść ty- leż schematyczna, co histo- rycznie fałszywa. Był to przecież okres wyżu sche- matycznego i utwory po- wstałe w tym czasie, nawet te historyczne, naginano do- też aktualnej polityki. Ze- dało to rezultaty opłakane, wiemy dziś wszyscy, ale wówczas nie każdy zdawał sobie z tego jasno sprawę.

Jerzy Wyszomirski bolał nad tym, co działo się w literaturze i dziennikarstwie i gorzkość z dnia na dzień. Jakżeż temu wytrawnemu znawcy literatury i stylis- cie musiało doskwierać pa- noszące się w wydawnic- twach i redakcjach „besser- wiserstwo”, którego padał ofiarą. Często zwracał mu felietony, a i te, które się u- kazywały, drukowano mu ze skróta lub po „odpowied- nych przeróbkach”. Toteż najlepsze felietony Wyszomirskiego pochodzą z lat międzywojennych i pierw- szego okresu po wojnie, kiedy pisywał w łódzkim czasopiśmie „Tydzień”. W „Tygodniu” jest Wyszomir-

ski barwny, polemiczny, daje upust swojej cieka- wości intelektualnej i roz- ległym zainteresowaniom społecznym. Np. jego wy- powiedź z powodu wypad- ków kieleckich w 1946 ro- ku, dowodzi wielkiej ma- drości pisarskiej i obywa- telskiej.

Godzi się tu zresztą przy- pomnieć, że Wyszomirski, który był liberałem i de- mokratą (jak sam siebie nazywał), jako publicysta występował zawsze prze- ciwko wszelkiego rodzaju wyrykom i ekscesom ra- sistowskim i nacjonal- istycznym. W czasie hecy antysemickiej na uniwersy- tecie im. Stefana Batorego, ogłosił artykuł ostro po- tępiający te niecne wyryki młodych i „starych” faszy- stów. Reprezentował szlachetny typ humanizmu, wy- wódzącego się z najlepszych tradycji literatury i publi- cystyki polskiej, które sta- wały w obronie krzywdy i przemocy, a po stronie praw dy i sprawiedliwości.

Czas powojenny związał Jerzego Wyszomirskiego z Łodzią. Tutaj mieszkał, tu zmarł i na tutejszym cmentarzu został pochowa- ny. Od nas, jego młodszych kolegów i przyjaciół, należą mu się dowody stałej i trwałej pamięci.

Jan Koproń

PODKA z książką i kłami

JEDNYM HAUSTEM

Ten „Toast” spełnia się jednym haustem, można by rzec o książce Henia. Nie trudno odpowiedzieć dla- czego. Książka przypomina western. A wiadomo jaką popularnością cieszy się ten rodzaj literatury. Ak- cja książki — dynamiczna, obfitująca ciągle w niespo- dzianki, trzymająca czytelnika w napięciu. Sam autor pod- kreśla związek tej powie- ści z westernem.

Nim ukazała się książ- ka, nakręcono film osnu- ty na akcji powieści Hen- na. Na szczęście nie wi- działem filmu, piszę na- szczęście, bo wiadomo ja- kie robimy westerny fi- lmowe. Ale i my mieli- my Far West, mieliśmy

walkę o ziemię, które od- zyskaliśmy po straszliwej wojnie, która przyczyni- ła się nie tylko do spusto- szenia tych ziem, ale i do spustoszenia jakie doko- nało się w ludziach.

Bohater „Toastu” musi rozprawić się z bandą szczerwanych i zdolnych do wszystkiego bandziorów, którym sekunduje kilka obojętnych kobiet — by ocalić urządzenie opusze- nego sanatorium, skarby kultury narodowej, wresz- cie mienie jakie zostało dla tych, którzy mają tu- łać zamieszkać.

Bohater znajduje wspar- cie moralne u beznamięt- nej kobiety, która ratuje go dobrym słowem od nie- chybnej śmierci, sojusznik- ą w walce, rzemieślniką żydowskiego, który ginie w momencie, gdy kończą się dyskusje, a zaczyna- ją przemawiać lufy pistole- tów i broni maszynowej. Sojusznikiem bohatera jest jeszcze westernowo-gro- teskowa postać ciągle pijana go niemieckiego fryzjera. Praktycznie więc, bohater walczy sam. Ale za nim jest prawo i to dodaje mu odwagi. W rezultacie od- nosi on zwycięstwo. Zwy- ciałstwo to, że nieprawdę- podobnie, i w tym wypad- ku można mieć pretencję do autora, że nie zrezyg-

nował z westernowego schematu. Ale nagroda dla czytelnika będzie niewąt- pliwie to wszystko co nam się podobało w książce poza tym jednym momen- tem.

JHW

Józef Hen „Toast”, Wy- dawnictwo Literackie, Kra- ków 1964, str. 138, cena 10 zł.

„KONCERT NA CZTERY RECE”

Na zbiorze Hanny Able- wicz składają się trzy opo- wiadania. Autorka osadzi- ła akcję i bohaterów we współczesności, choć znaj- dzimy tu także retros- pekcję mającej ukazać czytelnikowi powiązanie losu ludzkiego z historią. Nie chodzi tu o jakieś wielkie sprawy, lecz po- prostu o to, czym czło- wiek żyje na co dzień.

Ale determinanty losu ludzkiego nie tkwią tyl- ko w historii, mamy i współczesną rzecz o dzie- ło — młodej, bo sto- jące dopiero u progu dojrzałości, Dziewczyna ta

pozbawiona ciepła w do- mu rodzinnym, szuka wy- zwolenia od tego czym żyje na co dzień. Spotyka chłopca trochę starsze- go od siebie. Wydaje jej się, że to ten, któremu może uwierzyć, którego może pokochać, z którym może związać swój los.

Potem rzecz już toczy się „normalnie”. Zaczynają się przywinki, jest „szkło”, jest „chata”, dziewczyna zachodzi w ciążę, zostaje sama. Długo ją wyrzuca- ją, bo popełniła kradzież, Wreszcie cały jej życiowy dorobek, wszyst- kie wysiłki i zdolności, idą na marne. Refleksje dziewczyny mogłyby świad- czyć, że autorka repre- zentuje pogląd, iż zło — popełnione przez człowieka, determinuje jego los, „mści się”, jeśli tak to można nazwać, przez ca- łe życie. Nie byłoby to po- gląd osobomijony wyłąc- nie naszej autorki. Ale to- tylko jedna z interpretacji, nie upieramy się przy niej.

Autorka „Koncertu”, wytułkała niewątpliwie in- teresujące tematy, ale jak je zrealizowała? Wydaje się, że potraktowała je re- portażowo, zbyt powier-

chownie, nie odliczyła ona czytelnikowi niczego, o czym nie wiedziałaby on wcześniej.

JHW

Hanna Ablewicz: „Kon- cert na cztery rece”, Wyd. Łódzkie, Łódź, 1964, str. 167, cena 10 zł.

„W REKU POTOMNYCH”

Jest to pierwszy tom trzeciej części „Powieści o kronice Galla”. Brzm- ło dość zawile, jednakże nazwisko autorki, Anieli Gruszeckiej, jest dostatecz- na rekomendacja, że książ- ka (jak i wszystko spod jej pióra) nie jest wcale za- wila, przeciwnie — prezen- tuje klarowną, komunika- tywną, adresowaną (prze- de wszystkim, lecz nie tylko) do czytelnika „mło- dzieżowego” beletrystykę historyczną. Rekomendację taką zdobyła Gruszecka już przed wojną jako au- torka (pisująca pod pseudo- nymem Jana Powalskiego) „W grodzie żaków” oc- wójnie opinie nie ugrunto- wały szczególnie dwie pier- wsze części „Powieści”. „Owe lata” i „Gall pisze kronikę”.

W wydaniu obecnie po- czątku trzeciej części nt. „Gall w cieniu” głównym

bohaterem jest nie Ano- rim, lecz jego następcą w kronikarskiej pracy, naj- pierw Kadubek, a póź- niej Długosz. Ale zarysowa- na w pierwszych to- mach trylogii koncepcja utrzymania się nadal: Gru- szecka nie tyle kreśli po- wieść biograficzną o kr- onikarzu i jego dziele, ile konfrontuje te wiatki z sze- roką wizją polskich wie- ków średnich, wydobywa- ją z tych czasów, ze szczególnej pasją i wnikli- wością, materię społeczną i obyczajową. Nie jest to pierwszy na ten temat w naszej literaturze treat historyczny, nie jest jed- nak dlatego mniej orygi- nalny — chyba przede wszystkim dzięki konse- kwentnie i klarownie rea- listycznej konstrukcji, ładnemu, bez nadmiernej archaizacji językowi, roz- ważnej ekonomice w gos- podarowaniu realiami, dzie- ki wreszcie dokumentacji historycznej. Obrona za- szarganego mobilitizmu i nierozumienia „popu- larnego” beletrysty histo- rycznego” udało się Gru- szeckiej w pełni.

ZP

Anieli Gruszecka: „W reku potomnych” t. I, Wyd. Literackie, 1964 r. s. 332, cena 24 zł.

PRZY PÓŁ CZARNEJ Z TWÓRCĄ FILMOWEGO „FARAONA”

MEŻCZYŹN w wieku 20 do 30 lat, brunetów, ciemnonokich, którzy zdecydują się na ogolenie głowy na okres zdjęć POSZUKUJE kierownictwo produkcji filmu FARAON. Zgłoszenia przyjmuje sekretariat, Łódź, ul. Łąkowa 23 — atelier w godz. 10—16.

Tego rodzaju ogłoszenia od pewnego czasu ukazują się periodycznie na łamach łódzkiej prasy codziennej. „Faraon” całkowicie „zadomowił się” w naszym mieście. Każdego dnia od rana do późnego wieczoru trwa ożywiona praca w kilku halach zdjęciowych. Wielokrotnie bez skutku usiłuję skontaktować się z reżyserem Jerzym Kawalerowiczem. Dzwonię do Wytwórni — bez przerwy ta sama odpowiedź: „reżyser ma zdjęcia, nie możemy poprosić o aparat”. Nareszcie wieczorem telefonuję do „Grand Hotelu”. Jest. Umawiamy się.

Już przy kawie pytam czy jego film, wszak z udziałem sporej liczby statystów i z monumentalnymi dekoracjami, ma być czymś w rodzaju wielkiego historycznego fresku?

— Staram się połączyć ze sobą walory filmu widowiskowego i filmu psychologicznego. Przy czym pierwszeństwo oddaję temu drugiemu. Pragnę także by mój film możliwie najdalej odszedł od zbanalizowanych już trady-

my wątek główny, zawsze aktualny, problem walki o władzę. Jej bohaterami są Ramzes i Herchor. Pierwszy z nich reprezentuje młodość z jej wszystkimi atrybutami z wielkim zapalem na ciele; drugi posiada zalety dojrzałego wieku, doświadczenie, zdolność przewidywania. Absolutnie słusznych racji nie gromadzę po stronie któregoś z antagonistów, raz ma je po prostu jeden, innym razem drugi. Intrygę prowadzę jakbym rozgrywał partię szachów sam ze sobą, z podobnym przejęciem przesuwając zarówno białe, jak i czarne figury.

— A jak ustosunkował się pan do nader licznych w Prusie pozytywistycznych stwierdzeń i podkreślen w rodzaju: patrzeć jak bardzo lud cierpi w kraju faraona, jakże ogromnie potrzebna jest człowiekowi nauka itp., itd.?

— Tego typu sformułowania potrzebne pół wieku temu, są już dzisiaj czymś oczywistym. Koncentrując się na problemach, jak mi się wydaje istotnych, usunąłem to wszystko, co zwierało z upływem czasu.

— Czy zajmując się sprawami dużej wagi nie próbuje pan jednocześnie zrekonstruować klimatu codziennego życia w starożytnym Egipcie?

— Obyczajowość czy rodzajowość same w sobie interesują mnie stosunkowo niewiele. Sięgam po dokumentację po to, by przedstawić bardziej wyraziście odrębność tematu rozgrywanego się w dawnych czasach. Dążę do tego, ażeby powstał klimat filmu, którego inność, jeżeli mi się to uda, może będzie bliska wyobrażeniu o tamtych czasach, ale służyć będzie przede wszystkim jako atrakcyjność w przedstawieniu konfliktów i myśli.

— Czy może pan podać przykłady elementów, z których zbudowany będzie ów odmienny klimat?

— Przede wszystkim staramy się, by aktorzy pozbyli się współczesnego sposobu bycia, gestów i odruchów charakterystycznych dla naszej cywilizacji. Na przykład nie było wówczas takich krzesel jak obecnie, nie było wysokich stołów; inaczej więc siadano, opierano się, inaczej wypoczywano. Staramy się też wykorzystać ruch uwieczniony na reliefach, próbujemy odtwarzać poprzedzające go gesty. Choćby takie padanie na twarz, które nie było żadnym kłękaniem, ale specyficznym ruchem rytualnym. Inny przykład: na reliefach nigdzie nie ma sceny pocałunku, może wówczas w ogóle nie całowano się, a to już jest ciekawa inspiracja dla odmiennego potraktowania scen erotyczno-milosnych.

— Czy dla pełniejszego oddania specyficznej atmosfery

LECH PIJANOWSKI

Już tylko repertuar VIII Festiwalu Festiwalu Filmowych wymownie świadczy o fakcie, którym coraz częściej zajmuje się krytyka filmowa w świecie: o niedawnym, niewątpliwie jakościowym skoku w pozycji czeskiej sztuki filmowej. W repertuarze FFF znalazły się aż trzy czeskie filmy: „Oskarżony” reżyserów Jana Kadara i Elmaru Klosa (Grand Prix Festiwalu w Karlovych Varach), „Czarny Piotruś” reż. Milosza Formana (Złoty Żagiel i nagroda za debiut Festiwalu w Locarno) oraz „Lemoniadowy Joe” reż. Oldricha Lipsky'ego (Srebrna Muszla i Nagroda Międzynarodowej Federacji Krytyki Filmowej na Festiwalu w San Sebastian).

Te trzy filmy są zresztą w swojej sumie dowodem dobrej wielostronności owego „jakościowego skoku w górę”, każdy z nich reprezentuje inny styl, zupełnie inną tematykę, inny rodzaj warsztatu reżyserskiego i inne tytuły do festiwalowej chwały i uznania widzów.

„Lemoniadowy Joe” to trzecia już, filmowa (po powieściowej, także znanej u nas i teatralnej) wersja parodii westernu pióra Jerzego Brzeczki — widowisko apetyczne i zabawne, cieszące się wielkimi pomysłami i nowym wykorzystaniem pomysłów starych w dziedzinie kowbojskiej klasyki i jej parodii, dość wyrafinowane plastycznie. Choć w sensie dramatycznym druga część filmu jest słabsza od pierwszej, widzowie najpewniej nie przejmą się tym (i będą mieli rację) — jest to w końcu pozycja rozrywkowa, zgrabnie zrealizowana i gustowna, ale też nie więcej. Aż dwie wysoki nagrody Festiwalu w San Sebastian budzą u mnie więcej refleksji na temat ogólnego poziomu tego festiwalu, niż pełnego uznania dla decyzji jurorów.

nie zamierza pan nakręcić nieco zdjęć w samym kraju faraonów?

— Po skończonej realizacji scen atelierowych w Łódzkiej Wytwórni wyjadę z grupką aktorów do Egiptu. Nakręcimy tam ważną dla zobrazowania rozwoju osobowości Ramzesa scenę pod piramidami, lekcję, którą daje młodemu faraonowi jego nauczyciel Pentuer.

— I to już będzie zakończenie okresu zdjęciowego?

— Potem montaż, udźwiękowienie i być może już jesienią „Faraon” znajdzie się na ekranach.

Rozmawiał:

ZYGMUNT MACHWITZ

Tempera

Leszek Róžga

Inna sprawa z „Oskarżonym” i „Czarnym Piotruś” — są to dwa filmy bez wątplenia bardzo dobre, może nawet wybitne. „Oskarżony” opiera się na popularnej w kinie formule dramatu sądowego, wykorzystanej wielokrotnie w filmach sensacyjnych i melodramatach i mówi poprzez tę formułę coś ważnego i nowego w sprawach autentycznej, socjalistycznej współczesności. Nie ma nic z reżyserskiej sensacji ani ze zławego melodramatu — przed sądem stoi dyrektor jednej z wielkich budów, aktywny członek partii, oskar-

żony, którego dramatyzmu nie wygładza ostrożna sprawność scenariusza.

Kadar i Klos pokazują raczej zawiłe, wielostronne, nieraz ze sobą sprzeczne, nie boją się niedomówień — i nie pomimo to, lecz wskutek tego zmuszają swoich widzów do aktywnego patrzenia. Głębokości ich zamysłu twórczego towarzyszy błyskotliwe opanowanie warsztatu, wzbogacającego skromną z założenia kameralną formę filmu atrakcjami wyższej rangi: skupieniem na aktorstwie, plastycznością montażu.

„Czarny Piotruś” z kolei wprowadza, jak myślę, w

wany kamerą tworzy się spojrzenie wnikliwe, poważne, syntetyzujące.

Reżyser Forman wyrósł z dobrej szkoły filmu dokumentalnego — w „Czarnym Piotruś” widać to w pełni i szczęśliwie twórca ani nie wstydzi się tego rodowodu ani nie jest z niego na pokaz dumny; po prostu warsztat dokumentarzysty-realisty oddaje w służbę twórczości zakrojonej szerzej i głębiej, niż jest to możliwe w krótkim dokumencie obserwacyjnym.

Można spodziewać się, że ta metoda twórcza przyniesie niejednemu jeszcze dobry rezultat. To samo zresztą trzeba powiedzieć także o „Oskarżonym”, są to nie tylko dobre filmy, lecz i filmy „z perspektywą”, wnioski z nich prowadzą ku nowym osiągnięciom.

Dwa — trzy filmy oczywiście nie czynią przełomu i nie mogą być jego dowodem, lecz tylko przykładem. Tak właśnie jest w przypadku „Oskarżonego” i „Czarnego Piotruśa” — za tymi pozycjami repertuaru Festiwalu Festiwalu Filmowych przyszły przecież liczne, nowsze filmy czeskie, które do rangi pewnika podniosły stwierdzenie: w sztuce filmowej naszych sąsiadów dzieje się coś atrakcyjnego, ważnego, nowego...

Sam sobie nieco zaprzeczyłem, gdyż mniemam, że ważność i atrakcyjność tego, co istotnie dzieje się w kinematografii czeskiej polega na tym, że nie są to rzeczy ani sprawy nowe, nieznane, dzisiaj odkryte. Nastąpił zbieg kilku okoliczności szczególnie pomyślnych: cyklu debiutów młodych, utalentowanych reżyserów, udanych prób praktycznej realizacji teoretycznych postulatów zaangażowania, udanych dowodów zwiększonej wagi odpowiedzialności twórców za samodzielność ich dzieł, wreszcie skuteczne penetrowanie możliwości konwencji filmowych, dobrze sprawdzonych w sensie warsztatu.

Każda z tych okoliczności oddzielnie mogłaby zapewne doprowadzić do powstania jednego z dwu udanych, interesujących i ważkich filmów — wszystkie one łącznie składają się na rzeczywiste ożywienie i podniesienie temperatury atmosfery twórczej. Tego wynikiem są już nie pojedyncze tytuły filmów, lecz wyraźna dynamizacja całej sztuki filmowej, udowodniona niebicie, jak szerokie i rozległe są jeszcze możliwości ludzi z kamerą, którzy mają coś ważnego do powiedzenia o świecie, w którym żyją o jego trudnych i bolesnych, wielkich i małych sprawach.

Wydaje się, że nowe doświadczenia filmu czeskiego mogą być pożyteczne nie tylko dla czeskich widzów i twórców.

FILM

UWAGA Czesi

złony o niedbalstwo i brak nadzoru, wskutek czego szajka kombinatorów okradła budowę elektrowni na wielkie sumy. Oskarżony był któryś z kolei dyrektorem budowy i potrafił to, czego nie umieli jego poprzednicy: zbudował elektrownię, patrząc przez palce i na biurokratyczną sieć sprzecznych ze sobą przepisów i nawet na małe ludzkie słabości. Przed sądem oprócz upartej, uczciwej człowieka stoi i domaga się oceny dyktant moralny, często właściwy naszym powszechnym daniom: jaki cel usługuje jakie środki? Trudno wyobrazić sobie w takiej sprawie jednoznaczna, buchalteryjnie słuszną odpowiedź — szczęśliwie autorzy filmu nawet nie zamierzali dać jej widzowi; zamiast moralu, który byłby fałszywy, dali rzeczywistość, prawdziwy materiał do refleksji: sume autentycznych postaw i przeżyć bohaterów, ukazanych subtelnie, zagrzanych wyrażeniami.

„Oskarżony” dowodzi, że każda chyba formuła tradycyjnego kina może stać się sprawnym instrumentem oddziaływania filmu jawnie, jak to się mówi, zaangażowanego — jeśli wewnątrz tej najbardziej konwencjonalnej formuły (prokurator, obrońca, oskarżony, sąd, retrospekcje, obserwatorzy, inni oskarżeni) znajdują się konflikty ostre i rzeczywiste, zaczerpnięte z

niejakiego kłopotu dość licznych zwolenników poglądu, że nie może być dobrego i społecznego filmu bez dobrej, szczegółowo opracowanej scenariusza. Nie umiem bowiem wyobrazić sobie osoby ani komisji, która by się podjęła niewdzięcznego (może i śmiesznego) dzieła zatwierdzania scenariusza „Czarnego Piotruśa”. To wszystko, co jest w tym filmie świetne, co po prostu jest tym filmem, wręcz nie daje się opisać; gdyby się uprzeć, mógłby powstać utwór słowny tu rozwinęły nad miarę, ówde zbył skróty, chaotyczny i nieskładny, literacko raczej blady, poznawczo wąty, w stylu dość plastycznym i miłym — akurat przeciwnie do filmu.

W „Czarnym Piotruś” — a my bowiem do czynienia z obrazową materią obserwacji, nie zorganizowaną właściwie w dramatyczną konstrukcję spójnej opowieści. W filmie dzieje się niewiele i zdarzenia są niezbyt ważne, jak i bohaterowie, z tytułowym, przekonanym o swoim życiowym pechu chłopcem na czele. Film jest trudny do oglądania, ale jakże tego wart!

Bardzo to pouczająca sprawa, zobaczyć czystą „filmowość” w służbie realizmu, go, osadzonego w określonym czasie i miejscu konkretnie: przekonanie się, jak z drobnych odruchów, gestów, słów bohaterów jakby podpatry-



cyjnych schematów dużego ekranowego spektaklu (zw. „superfilmu”). Być może uda mi się skonstruować opowiadanie, które będzie bardziej medytacją na temat życia aniżeli jego odtwarzaniem.

— Czy jednak obraz Egiptu w kolorach nie przechyla szali zdecydowanie na rzecz efektów widowiskowych?

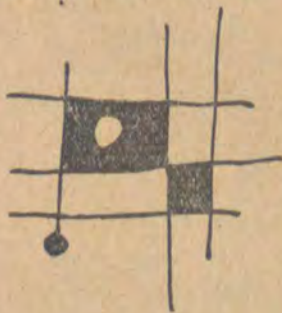
— Barwa w filmie rozbija dramat, dlatego też z operatorem Jerzym Wójcikiem jestem bardzo oszczędny: przedstawiam kolory zdecydowanej selekcji. Przy tym staramy się tak komponować sceny, by niejednokrotnie własnie kolory podkreślały coś bardziej istotnego od widowskiego efektu. Na przykład labirynt. Chcemy by widz zobaczył przeżycia ludzi w tej zamkniętej przestrzeni, rytm obrazów ich drogi, twarze, wrażenia. Będzie to scena oparta nie na efektach dekoracyjno-budowlanych, a na sugestii rytmiczno-kolorystycznej.

— Labirynt to z pewnością jeden z bardziej frapujących pomysłów Prusa. A w jaki sposób potraktował pan inny ogromnie ciekawy fragment książki — opis zaćmienia słońca?

— Scena zaćmienia została zarejestrowana na taśmie czarno-białej, bez jakiegokolwiek kolorystycznych efektów. Zważywszy, że film jest barwny, brak koloru musi oznaczać coś zupełnie odmiennego, niezwykłego.

— Zaćmienie to ostatni akt walki o władzę pomiędzy wielkim kapłanem i młodym faraonem, to kulminacyjny moment powieści. Czy ta scena w pana filmie będzie miała analogiczną funkcję?

— Prawdy z Prusa, wzięli-



„MIASTO NADZIEI”

Lódź jako kolebka poezji? Piechal jako poeta Łodzi? — to pytania które przebiegły mi przez głowę, gdy otwierałem niezwykle pięknie wydany tom Wydawnictwa Łódzkiego. Co właściwie znaczy tytuł: „Miasto nadziei”? Czy to, że właśnie Łódź jest tym jedynym miejscem, w którym dla kogokolwiek choćby i dla samego poety, jak w jakiejś nowej ziemi obiecanej zamieszkała nadzieja, czy odwrotnie: że temu miastu już tylko nadzieja pozostała. Tyle pytań. A jak odpowiadają fakty?

Tak, Łódź ma swoje miejsce w poezji, ma nawet swój niepowtarzalny, raczej ponury i złowrogi profil. Pozostał w pamięci jako miejsce gdzie „mogłaby zejść bezszelustnie lady Macbeth, tu jeszcze schłonie krew”, miasto zbrodni i kontrastów, mordowanych i krzywdzicieli. Pamięta się ją z wierszy Jastruna i Broniewskiego, z „Kwiatów polskich” Tuwima. Nie jest to bynajmniej miasto uczuć łagodnych, nie nastroje tematów sielskich. Jeśli dzieło — to rachityczne, bałuckie, jeśli dom — to sułtana, jeśli spacer — to pochód bezbronnego przeciwnika bagietem. Jednym słowem, nie jest to miejsce dla zwykłego życia. Miasto brzydkie i ani w architekturze, ani w zieleni ani w innych, tego rodzaju powabach należy szukać poezji. Poezja Łodzi to patos, groza, ironia. Łódź nie jest najdogodniejszym dla poetów miejscem zamieszkania. Nie przechodzą tu jednak obojętnie, miasto pozostawia swój stygmat w słowie i wyobraźni.

Także w słowie i wyobraźni Piechala. Stefania Skwarczyńska w obszernym wstępie do „Miasta nadziei” dowodzi, że Piechal zapisał kartę zupełnie odmienną, nie dającą się sprowadzić do niczego, co dotąd o Łodzi napisano. W istocie, tytuł to uzasadnia; w obrazach Jastruna, Broniewskiego, a nawet Tuwima nadziei właśnie raczej brakowało. A Piechal jest rzeczywiście z Łodzią związany bardzo silnie. Nie tylko dlatego, że jak tamci bywał tu, urodził lub nawet mieszkał

czas jakiś. Mieszkał bowiem i mieszkać czas prawie cały, redagując tużesze pisma, kierując klubem literackim, później prezesując Związkowi Pisarzy. Nawet w latach studenckich, warszawskich przecież, należy do grupy literackiej łódzian. Poświęca miastu szereg utworów. A więc i biologicznie i wyświeconym poetyckim do Łodzi należy.

Weźmy do ręki sam ostatnio wydany zbiór, który przecież najdobitniej musi nam powiedzieć czym Łódź naprawdę dla Piechala była. Tom dzieli się na dwie części. Pierwsza przynosi wiersze z wydanego w 1929 „Krzyku z miasta”. Tematyka ich jest dość różnorodna. Od precyzyjnego, bardzo intelektualnego „Policjanta” po szereg „mizantropistycznych” obrazków obyczajowych. Obok nich wiersze buntownicze, programy poetyckie, maszynizm. To właściwie utwory wczesne, to jeszcze szukanie drogi.

Znacznie ciekawsze są te fragmenty, w których Piechal wprowadza do utworu subtelne precyzacje intelektualne. To może zafrapować. Tak jest w „Woli uczucia”, w „Koniu”, w „Policjancie”. Słowem w utworach, które sięgają do spraw ogólniejszych. To jest właśnie źródło najlepszych strof zamieszczonych w tym tomie, w ostatnim, tytułowym wierszu. Piechal pisze:

*Jedyną naszą własnością jest pamięć
jak wosk, plastyczna matryca doświadczeń,
nie ma tam miejsca na moment urodzin
i chwilę zejścia, ale na blask rzeki
i na świat zejścia w zbożu podczas żniwa.*

*Przyszłość jest ciemną stroną satelity,
co nowy człowiek, to znak zapytania,
im więcej ludzi, tym więcej kielasków
tych nowych nasion w glebie ignorancji.
Czas odpowiada, rodząc nowe rzeczy.*

Zresztą właśnie w drugiej części znać o wiele większą dojrzałość poetycką. Kojarzy się to znowu z precyzją, z upodobaniem do łagodnego intelektualnego paradoksu, dobrze zawartego w celnym obrazie czy metaforze. Liczę do nich

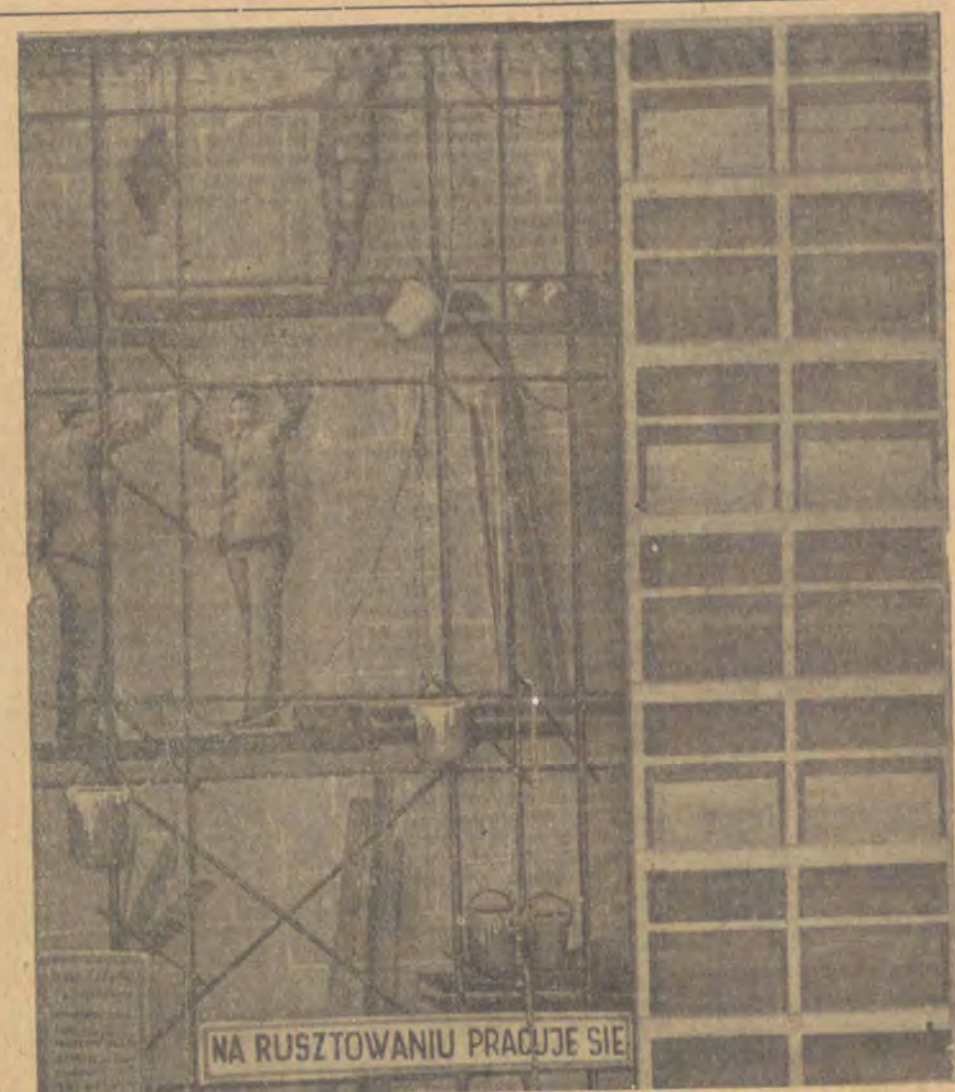
przede wszystkim ostatnie strofy „Siedmiu strof o słowikach”. A więc co? poeta łódzki naprawdę, czy z nazwy tylko?

Nie, nie tylko z nazwy. Zapytywałem, co właściwie znaczy, jak należy rozumieć „nadzieję”. Otóż nie można poprzestać na jednej tylko definicji. Czym innym była nadzieja w „Krzyku z miasta”, a czym innym w wierszach późniejszych. Nadzieja dla „Wenus fabrycznej” oznaczała ewentualne zlitowanie się boże albo równie wątpliwe redemptorium urzędowego lekarza. Nadzieja dla mas robotniczych nie polegała na zlitowaniu się łaskawych sił, polegała na przewrocie, na rewolucji. I znowu nadzieja po latach stała się czymś innym. Mogłaby być jakby utożsamiona z radością. Ale ostateczna formuła jest jeszcze inna:

*Ze wszystkich złudzeń,
topliwych jak: śniegi,
został nam w płucach
tlen nadziei czysty.*

A więc nadzieja staje się *conditio sine qua non* życia, oddychania. A emitorem, napędem tej nadziei jest, trzeba to przyznać, właśnie miasto. I w tym sensie Piechal jest rzeczywiście poetą Łodzi.

Tom jest wydany imponująco. Piękny papier, starannie dobrana czcionka, a nawet kilka jej odmian, wklejone reprodukcje Hillera, Rembrandta i Wernera. A na obwolutie reprodukcja rzeźby Wołoszewicza, przedstawiającej popiersie Piechala. To właśnie popiersie każe mi pamiętać, że poeta tam właśnie dał najlepsze utwory, gdzie patos samej materii poetyckiej mógł się skojarzyć z rozeznaniami intelektualnym. Tak właśnie było w utworze, którym poeta, poza wierszami obozowymi do syna, zapisał się w mojej pamięci najmocniej w „Itace Conrada”.



Barbara Szajdzińska-Krawczyk

Olej

Spektakle miesiąca grudnia 1964 r.

FILM		
WOLNOŚĆ — „Panią z okienka”, 54 seanse	15.181 widzów	
WISŁA — „Nagie ostrze”, 152 seanse	36.930 „	
TEATR		
NOWY — „Wice i Wacek”, 5 spektakli	3.000 — 85%	
„ — „Pan Geldhab”, 10 spektakli	6.800 — 90%	
„ — „Pastoralka”, 7 spektakli	3.500 — 70%	
NOWY Mała Sala — „Indyk”, 7 spektakli	1.300 — 90%	
JARACZA — „Ania z Zielonego Wzgórza”, 13 spektakli	7.347 — 83%	
JARACZA — „Kobiety”, 9 spektakli	3.649 — 60%	
POWSZECHNY — „Piosenka prawdę ci powie”, 11 spektakli	7.177 — 98%	
POWSZECHNY — „Robin Hood”, 6 spektakli	3.954 — 91%	
POWSZECHNY — „Niewidzialny książę”, 3 spektakle	2.004 — 100%	
POWSZECHNY — „Ktoś nowy”, 5 spektakli	2.529 — 76%	
OPERA — „Legenda Bałtyku”, 7 spektakli	4.900 — 95%	
OPERA — „Ciotka Karola”	25.516 — 76%	
7.15 — „Pani prezesowa”, 16 spektakli	6.554 — 97%	
„ — „Fik i Mik w Zaczarowanej Zatoce”, 8 spektakli	2.774 — 79%	
FILHARMONIA — 4 i 5 grudnia — koncert z udziałem pianisty Sebastiana Bende	984 — 75%	
FILHARMONIA — 11 i 12 grudnia — koncert z udziałem pianistki radzieckiej Marli Grinberg	1.155 — 80%	
ESTRADA — 6 grudnia — Występy zespołów ludowych woj. łódzkiego	6.000 — 73%	

Cyfrы procentowe oznaczają stosunek widzów do ilości miejsc na widowni.

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

„Skapiec” Mollera w Teatrze TV w ubiegłym poniedziałek, był wielkim popisem gry aktorskiej Gustawa Holoubka w roli Harpegona. Mimika, gra, słowo znakomitego aktora stworzyły tragiczne uosobienie skapstwa. Wielkie dzieło Mollera zawiera bogactwo znaczeń, które pozwalają na kreowanie postaci tytułowej w wymiarach od groteski do tragikomedii. Holoubek wybrał koncepcję psychopatyczną i utrzymał się w niej do przedostatniej sceny. Na ostatnią chyba jednak zabrakło mu już siły: nie wydobyl finalowego akcentu rozpacz i wściekłość z powodu kradzieży szkatułki z pieniędzmi. Dzielnie sekundowali Holoubkowi Czechowicz i Lutkiewicz; pozostali wykonawcy zaledwie poprawni.

WTOREK

Ukazał się niedawno niezmiernie interesujący tom esejów literackich Andrzeja Kijowskiego „Arcydzieła nieznane”. Już pierwszy esej (o Brzozowskim) porusza problematykę wspaniałą, dociekliwą i finezją, właściwą temu światelnemu krytykowi. Kijowski stwierdza i udowadnia (w wielu wypadkach) prekursorsko Brzozowskiemu w dziedzinie powieściowej, sygnalizując osiągnięcia merytoryczne i formalne autora „Sam wśród ludzi”. Jest to, tym ciekawsze, że my dzisiaj przypisujemy pierwszeństwo pod tym względem różnym współczesnym pisarzom, którzy „odkrywają Amerykę” po Brzozowskim. Ktoś kompetentny powinien zrecenzować „Arcydzieła nieznane” Kijowskiego. Panie redaktorze, proszę zapro-

ŚRODA

Oczywiście, na wieczorne Horacego Safrina w Klubie Dziennikarzy trzeba było dostawić krzesła na sali, która ledwie mogła pomieścić publiczność; pragnąc usłyszeć popularnego autora „Szabasowych świec”. Zapytał Horacego Safrina o plany na przyszłość. Okazuje się, że drugie wydanie „Szabasowych świec” znajduje się w druku. Ponadto niemieckie wydawnictwo w Monachium przygotowuje w języku żydowskim małą antologię humoru (około trzystu anegdot) w opracowaniu i z przedmową Safrina. Antologia ta ukazuje się również w tłumaczeniu niemieckim w wydawnictwie literatury żydowskiej, socjologii i folklorystyki, pracującej w Szwajcarii, Sali Landman. Na zakończenie rozmowy

prosimy o frazję dla Notatnika.
W LESIE WSPÓŁCZESNEJ POEZJI
Tu mrok. Potykasz się o słowne arabeski. Im dalej w las, tym więcej lip... Brak tylko — czarnoleśniej.
Fraszka przednia. Tylko proszę pamiętać, że ja się z nią merytorycznie nie zgadzam.

CZWARTEK
O swoim ostatnim filmie „Pierwszy dzień wolności” mówił w tygodniku „Film” (nr 51-52) Aleksander Ford, że wobec tekstu sztuki Kruczkowskiego na tylko jeden obowiązek: „zachować i przenieść na ekran jej sens, jej filozofię”. „Pierwszy dzień wolności” jest niewątpliwie filmem interesującym, a jednak rysuje się na nim pekięcie, które uniemożliwia widzom pełne zaangażowanie się w akcję i koncepcję filozoficzną. W sztuce Kruczkowskiego akcja nie rozpraszala naszej uwagi; w tym stopniu, jak w filmie; była zwarta, oszczędna, problemy moralne i

filozoficzne stały zawsze na pierwszym planie. Ford rozbudował kameralną sztukę w obraz na pół monumentalny i rozproszona uwaga widzów „nie odbiera” problemów w całej ich pełni i doniosłości. Sztuka Kruczkowskiego nie nadawała się do „monumentalizowania” tak, jak uczynił to twórca filmu.

PIĄTEK

O tysiąclecie języka polskiego mówił wybitny językoznawca prof. Zenon Klemensiewicz, na odczyt w Łódzkim Domu Kultury. „A niechajże postronni narodowie znajdą, że Polacy nie gęsi, lecz swój język mają”. Ten język, który dorastał do rangi języka narodowego w walce z łaciną, potem — z francuszczyzną, jeszcze później — z mową zbiorową, a dziś walczy o swą czystość z niebezpieczeństwem wulgaryzmu i wykołajonymi formami, powstającymi z niechlujstwa i braku dbałości o naszą własną osobistą wypowiedź. Są jednak jeszcze ludzie wrażliwi na piękno mowy ojczystej. Po głosnej kontrowersji z Hamiltonem podszedł do Pro-

fesora robotnic kraciowski, aby ucieśnić na Plantach rękę znakomitego językoznawcy w podzięk za obronę polszczyzny. Oto mały przykład patriotyzmu!

SOBOTA

W salonie Związku Polskich Artystów Plastyków została otwarta wystawa rzeźby Mieczysława Szadkowskiego, Iłłicie, państwo, czym prędzej obejrzyć, bo mogą zamknąć i nie zdążyć! Mnie szczególnie pociągnęło „Puszczanie ławca”, „Kompozycja” i dwa piękne obrazy z metalu. W interesującym wstępie do prospektu informuję nas, że pierwsze lata twórczości Szadkowskiego upłynęły pod znakiem fascynującej osobowości Władysława Strzemińskiego, później artysta przez doskonałe wyczuwanie formy i stosunków przestrzennych osiąga w swej rzeźbie granice symbolu i pełen głębię treści humanizmu.

NIEDZIELA

A teraz, Panie Redaktorze, na zakończenie — trochę o szacunku dla człowieka. Szacunek dla człowieka jest przecież w na-

szej Ludowej Ojczyźnie kamieniem węgielnym ustroju socjalistycznego! Niepokoi więc, jeżeli urzędy państwowe, a do takich zalicza się przecież Administracja Domów Mieszkaniowych i Urząd Dozoru Dźwigów, wykazują elementarny brak szacunku dla ludzi. W grudniu ub. roku w dzielnicy Piotrków w domu przy ul. Narutowicza 8, uruchomiono dźwig w drugiej klatce schodowej i pomimo, że upływa drugi miesiąc, pomimo, że jak twierdzi pracujący „w kratkę” robotnicy, roboty w zasadzie zostały ukończone (ale może to mit?), nie może się „zabrać” komisja dla odbioru tych robót i uruchomienia windy. Zrozpaczeni starzy ludzie z osłabionymi sercami muszą wchodzić na 5 piętro i wyżej, zadając sobie pytanie, co, na Boga, robią pracownicy w ADM i Dozorze? Dźwig stoi jak stał, ludzie skracają sobie życie przez chodzenie na piętra i pytają, czy dźwig, który jeszcze tej chwili, kiedy dźwig ruszy? Szacunek dla człowieka, Panie Redaktorze, czyli — kultura. Uszanowanie Panu! ARYSTARCH

Finn O'Donovan

BEZ GŁOSNA BRONI

— Czyżby trzasnęła gałąź? Dixon obejrzał się. Zdawało się mu przez moment, że widzi jakiś ciemny, niewyraźny kształt, zlewający się z otoczeniem lasu. Znieruchomiał, wystraszony, patrząc przez zielono-żółte drzewa. Dookoła panowała kompletna cisza. Wysoko w górze, badając spaloną słońcem krajobraz, szybował ogromny ptak. Nagle usłyszał niskie, niecierpliwe warknięcie, dochodzące z pobliskich zarośli.

Taki był ścigany. Jeszcze przed chwilą mógł tylko przypuszczać. Teraz, że na wpół widoczne kształty okazały się realnymi. Pozostawili go w spokoju w drodze do stacji sygnałowej. Obserwowali go tylko. Czekali! Teraz gotowi byli zaatakować.

Powoli wyciągnął z futerału Broń: sprawdził bezpiecznik i wsunął ją z powrotem. Bez niej nigdy by nie ryzykował oddalenia się od asteroidu. Broń wisząca na biodrze dawała mu absolutne zabezpieczenie przed wszystkim co chodziło, pływało, czołgało się i latało. Broń, która mogła zniszczyć wszystkie inne bronie. Ostatnie słowo, jeżeli chodzi o ręczną broń zostało powiedziane.

Obejrzał się jeszcze raz. Około pięćdziesięciu metrów za nim czaiły się trzy bestie. Z tej odległości przypominały ziemskie psy, albo hieny. Warczały i posuwały się wolno w jego kierunku.

Rzucił okiem do tyłu i stwierdził, że z pół tuzina podobnych do psów stworzeń dołączyło się do poprzednich. Posuwały się teraz z wywieszonymi żerami na otwartej przestrzeni. Postanowił nie anihilować ich jeszcze. — Efekt zaskoczenia będzie tym większy, pomyślał.

Alfred Dixon miał wiele zawodów w swoim życiu. Był badaczem, myśliwym, poszukiwaczem złota, pilotem asteroidu. Teraz był kontrolerem automatycznych stacji sygnałowych na paru planetach. Ale co najważniejsze, sprawdził praktyczną przydatność najdoskonalszej broni ręcznej. Konstruktorzy sądzi-

li, że broń tę można będzie wprowadzić do powszechnego użytku dla kosmonautów.

Był już na skraju lasu. Jego asteroid znajdował się trzy kilometry stąd, na wielkiej polanie. Znalazł się w cieniu drzew, usłyszał przeszywające piski arborealni. Wyglądały jak pomarańczowo-niebieskie kule. Obserwowały go bacznie z czubków drzew.

Dzięki psy czaiły się nie dalej niż dwadzieścia metrów za nim. Widział ich szarobrazowe futra i mordercze podobieństwo do hien. Kilka z nich wbiegło do zarośli, odcinając mu drogę. Był okrzyknięty. Przeszedł czas na użycie Broni. Wyjął ją z kabury. Miała kształt pistoletu, była jednak dużo cięższa od niego. Konstruktorzy obiecali zmniejszyć jej wagę w dalszych modelach. Dixonowi podobała się jednak taka jaka jest. Podziwiał ją przez moment i wtedy przesunął regulator rażenia i bezpiecznika.

Stado susami pedziło w jego stronę. Nie celując naciśnął na spust. Dał się słyszeć słaby szum i partia lasu na przestrzeni stu metrów od niego zniknęła.

Pierwsza komora anihilatora została wyczerpana. Snop promieni z wylotu lufy miał średnicę około czterech metrów. W lesie ukazało się przecięcie stożkowe o długości stu metrów i wysokości człowieka. Wewnątrz tego przecięcia nie pozostało nic. Drzewa, cała roślinność i dzikie psy zniknęły. Gałęzie na krawędziach pustej przestrzeni wyglądały jak gdyby poucinane olbrzymią brzytwą. Obliczył, że w ciągu pół sekundy zniszczył co najmniej siedem bestii.

— Co za wspaniała Broń, pomyślał. Nie ma żadnych problemów z odchyleniem pocisku jak w broni konwencjonalnej. Nie ma potrzeby ponownego załadowania. Broń jego miała gwarantowane osiemnastogodzinne działanie.

Panowała cisza. Leśne zwierzęta były zaskoczone zdarzeniem. Po chwili jednak wszystko się ożywiło. Arboreal zaczęły znów skakać po drzewach. Olbrzymi ptak, podobny do ziemskiego kondora zniżył się nad lasem do niego przyłączyły się inne czarnoskrzydłe ptaki.

Dzięki psy nie zrezygnowały jednak. Słychać je było w gęstych paprotkach i skrzypach po obu jego stronach.

— Czyżby ośmieliły się zaatakować ponownie? Ośmieliły się. Trzy psy wyskoczyły jednocześnie z różnych kierunków. Dixon przesunął regulator. Pył wirował, połykając na przestrzeni zniszczonego lasu.

zienia. Nasłuchiwał. Las wypełniał się wyciem i ujadaniem psów. Nadchodziły nowe stada.

— Dlaczego się go nie boją? Może dostały za słabą naukę. Broń działała sprawnie i cicho. Psy zniknęły bez żadnych skomleń czy skowytów. Brakowało jednak głośnego huku, który mógłby je przestraszyć. Nie było zapachu kordyli, trzasku przy wprowadzaniu nowego pocisku do komory.

Arboreal huśtały się nad jego głową, pokazując kły. — Pewnie miciożerne, zdecydował. Skierował Broń w górę i parę wierzchołków drzew zniknęło.

Arboreal uciekały skrzę-

niedaleko Dixon i wyrzucił rękę obok jego nogi. Następne uderzenie przeszło nad jego głową. Zdawało się, że nie ma żadnej nadziei ratunku dla niego, gdy nagle arboreal zainteresował się bliżej trzymanym przedmiotem. Skrzęcając zabawnie obrócił Broń, próbując jednocześnie zająć do lufy. Naciśnął na przycisk i jego głowa zniknęła bezszelestnie.

Dixon był uratowany. Przeskakując głęboką bruzdę, rzucił się na leżący dezintegrator, zanim któryś z arboreali mógł się nim zająć. Szybko ją zabezpieczył.

Psy powróciły i obserwowały go jak przedtem.



cząc w popłochu. Spadały liście i małe gałązki. Nawet psy zamary na chwilę, wyrywając się na boki.

Dixon uśmiechnął się... i nagle upadł uderzony w ramie spadającym konarem. Niezabezpieczona Broń wypadła mu z ręki o parę metrów od niego. Wypelźł spod gałęzi i rzucił się w jej kierunku. Arboreal był jednak pierwszy. Dixon rzucił się na znak zamykając oczy. Arboreal wyraźnie triumfował wywołując dezintegrator. Olbrzymie drzewa padały z hukiem i trzaskiem. Było prawie ciemno od spadających liści i gałęzi. Nieznana siła orała rowy w leśnym gruncie.

Promienie dezintegratora rozłupwały ogromne drzewo

Trzęsły mu się ręce. Bał się, że zrobi sobie większą krzywdę niż im. Popędził w kierunku asteroidu. Z trudem przeszedł przez wielką kłodę leżącą na drodze. Był niedaleko od swego statku. Nagle kłoda poruszyła się otwierając się tuż przy jego nodze. Skierował Broń nerwowo naciskając na spust. Zachwiał się i wpadł do dołu, który powstał w miejscu gdzie znajdowała się kłoda. Był to fatalny dla niego upadek. Leżał na dnie z wykreconą kostką lewej nogi, ciężko dysząc. Psy okrzyknęły dół, przglądały się swojej ofierze.

— Całkiem nieźle, mruknął pod nosem. Dwoma rażeniami oczyścił krawędź. Próbowal teraz wydostać się na

górze. Ściany dołu okazały się jednak zbyt strome, a po za tym stopiły się na szkło. Rzucił się jak szalony to w jedną to w drugą stronę, tracąc nadaremnie siły. Raptem stanął i zmusił się do myślenia. Przecież może wydostać się stąd przy pomocy broni. Wyżłobił płaską rampę i wypelźł kompletnie wyczerpany. Z trudem mógł ustać na lewej nodze. Jeszcze bardziej dokuczał mu ból w łopatce. Chyba została strząskana przez spadającą gałąź. Używając kijki pokuszył się w stronę rakiety. Psy były wszędzie. Widział już błyszczący kadłub swego asteroidu. Próbowal biec.

— Cicha broń — do diabła! Niebezpieczna dla wszystkich nie wyłączając tego, kto ją używa. Chciał widzieć tego, kto ją wynalazł. Co za głupiec. Ile by dał teraz za zwykłego Colta. Ba, za zwykły straszak.

Był już przy rakiecie. Góra grzebał się przy wylazie. Wpełznął do środka. Zatrzasnął komorę i opadł ciężko na siedzenie. Był bezpieczny.

Wtem usłyszał warknięcie. Czyżby nieopatrznie zamknął jednego z psów w rakiecie. Nie miał dość siły w ręku by podnieść ciężką broń do góry. Wreszcie udało mu się jakoś ją zdźwignąć. Prawie że niewidoczny w nikłym świetle rakiety kształt skończył na niego. Przeżywał straszną chwilę. Zdawało się, że nie zdąży go zniszczyć. Pies był przy jego gardle. Odruchowo zacisnął dłoń. Zapanaowała cisza. Stracił przytomność.

Kiedy doszedł do siebie, leżał jeszcze dość długo, delektując się wspaniałym wrażeniem, że jeszcze żyje. Nie chciało mu się podnosić. Nareszcie wystartuje z tej przeklętej planety z powrotem do swoich barów Terry. Zrobi wielkie pijaństwo. Znajdzie tego konstruktora i roztrzaska mu głowę tą jego cholerną bronią. Tylko maniak mógł wynaleźć broń bez huków. Ale to się zrobi później. Na razie rozkoszował się tym, że żyje i leży sobie w słonecznym świetle i ciszy.

— W słonecznym świetle, wewnątrz rakiety?

Usiadł. Obok leżał ogon i tylne nogi psa. Przed nim znajdował się interesujący zygzak wycięty w boku rakiety. Miał co najmniej 10 centymetrów szerokości i dwa metry długości. To przez niego przeszczało się światło słoneczne. Znalazł jeszcze parę innych ciał. Skąd się tam wzięły? Tak, oczywiście! — to wtedy, kiedy torował sobie drogę powrotną, na ostatnich stu metrach. Działanie broni miało dotknąć rakietę. Przyjrzał się bliżej

dziurami. — Całkiem przyjemna robota, pomyślał ze spokojem towarzyszącym historii.

Rzucił okiem na przyrządy sterownicze. Tam, gdzie znajdowała się aparatura radiowa, zwiśla teraz parę przeciętych kabli. Poza tym stwierdził, że są dziury w zbiorniku z tlenem i wodą. Całkowite spustoszenie! Przewodów paliwowych nie było prawie wcale, a paliwo zgodnie z prawem grawitacji, które przecież tutaj też obowiązywało, utworzyło dużą kałużę pod asteroidem.

Nie można tego było zrobić lepiej nawet lampą lutowiczną. Istotnie nie można było. Kadłub rakiety był niewatpliwie za twardy. Ale nie za twardy dla niezawodnej, pewnej, nigdy nie chybającej Broni.

W rok później, kiedy Dixon nadal nie zgłaszał się do bazy, wysłano drugą rakietę. Miano mu sprawić przyzwolony pogrzeb na wypadek gdyby cokolwiek z niego zostało, oraz odszukać prototyp nowej broni. Nowa rakietka wylądowała obok rakiety Dixon i załoga z zainteresowaniem zaczęła badać pokiereszowany kadłub.

— Niektórzy faceci nie mają pojęcia o posługiwaniu się nową bronią, powiedział kierownik ekipy. Wtem usłyszeli jakiś stukot dochodzący z pobliskich zarośli. Pobiegli w tamtym kierunku. Dixon podśpiewywał sobie wbijając kołek. Obok stał jego drewniany szalas, dokoła którego znajdował się mały ogród warzywny, ogrodzony palisadą.

— To ty chłopie jeszcze żyjesz? — wykrzyknął główny pilot. — Chyba tak! Ale byłem o krok od śmierci zanim nie zbudowałem tej palisady. To przed tymi cholernymi bestiami. Niemniej jednak nauczyłem ich odrobinę respektu.

Dixon wyszczerzył zęby, pokazując na oparty o palisadę łuk.

— Wyciąłem go z kawałka sprężystego drzewa.

Obok leżał kołczan pełen strzał...

No, a broń?

Aha, Broń — wykrzyknął Dixon z wesołym blaskiem w oczach. — Zginąłbym bez niej...

Odwrocił się i zabrał się z powrotem do roboty. Ciężką, płaską kolbą Broni wbił kołek swojej palisady.

Lewym
okiem



STULETNI DEBY NA KWELI

Czy wiecie, że jeszcze trzydzieści parę lat temu Łódź miała sieć telefoniczną zawieszoną na słupach, a nie podziemną, i charakterystycznym akcentem ulicy Piotrkowskiej były właśnie słupy — jak na każdej zrosie — z rozpiętą na nich ciężką, gęstą siecią drutów? Ze między jezdnią a chodnikami biegiły bardzo głębokie, strome, wybetonowane rynsztoki, którymi płynęły nieczystości śródmiejskie a przez ulicę można było przejść tylko w miejscach, gdzie nad tymi rynsztokami przerzucone były mostki? Ze jeszcze w 1928 roku, niektóre ulice zamykane były na klucz przez prywatnych, wszechmożnych magnatów bałwaniących?...

Czy wiecie, że mały pagórek w parku Julianańskim między stawami, utworzonymi przez rzeczkę Brzozę, to prawdopodobnie wczesnośredniowieczne grodzisko, szaniec jaskolego zameczku? Ze parusetletnie dęby rosną w samym środku naszego miasta, w parku Źródlika, będącym jedną z resztek puszcz Wyżyny Łódzkiej? Ten park wydzielono w roku 1840, jako kawałek ówczesnego

lasu z przeznaczeniem na miejsce spacerowe, nazwane wówczas Kwelą (dla Quelle — źródło), gdzie odbywały się popisy bractwa strzeleckiego i zabawy ludowe. Zobaczenie te sądziwie dęby! Dla obejrzenia takich robi się nie raz przecież wielokilometrowe wyprawy, a tu...

Sa w dziejach Łodzi ciekawostki, mogące przyciągnąć uwagę niejednego wędrowca, a także niejednego z miejscowych. Miasto o nazwie nie wiadomo jak poczętej, o którym przez parę wieków ledwie że ślad wszelki nie zaginął. Które licząc piętnaście tysięcy mieszkańców w 1840 roku było, co do powierzchni tylko o połowę mniejsze niż w sto lat później, kiedy mieszkało tu pół miliona ludzi... Dziwne, półmilionowe miasto powiatowe (bo takim była Łódź aż do 1919 roku), posiadające jeszcze dziwniejszą przyczepkę: Bałuty, które nie należały do miasta, formalnie biorąc były największą wioską, a mieszkało w tej wiosce przeszło sto tysięcy ludzi! Miasto, stanowiące w pewnym okresie tak silny magnes dla przedsiębiorczych rzemieślników całej środkowej Europy, że władze pruskie wchodziły się zmuszone do interwencji u ministra Lubbeckiego, aby już więcej fachowych przedsiębiorców i tkaczy z Prus do Łodzi nie zabierał, aby ich trochę Prusom zostawił. Co dla naszej rewolucyjnej tradycji, najcenniejsze — miasto bohaterów walk proletariatu, którego było największym w Polsce skupiskiem, tego proletariatu, o którym w 1928 roku pisało, że jest najniższej wynagrodzonym w Europie z wyjątkiem... Portugalii...

Największy procent mieszkań jednoizbowych — i najwęższe i uprzedzone powszechnie, obowiązkowe szkolnictwo. Brak wodociągów — i tramwaje elektryczne wcześniej niż w Warszawie. Kościół Wniebowzięcia na Starym Mieście, budowa-

ny ponoć nocami, bezpłatnie, przez robotników fabrycznych, i jego poprzednik na tym samym miejscu — modrzewiowy kościół świętego Józefa z 1765 roku, przeniesiony w 1888 na Ogrodową, gdzie stoi do dziś.

Można by zapewne zebrać wiele takich informacji, dających aspekt do kojarzenia historii z dniem dzisiejszym, z wizją przyszłości, wprowadzających w ruch wyobraźnię. Powiedzieć coś o tych pięćdziesięciu siedmiu „cennych zabytkach architektury”, które trzema słowami zaledwie uhonorowano w książeczce J. i Z. Dylaków i R. Kaczmarka pt. „Województwo Łódzkie”. Nie biał się anegdoty, związanej z „obiektem”, niechby się ten obiekt stał naprawdę przedmiotem naszego zainteresowania, nie tylko pozycją inwentarową, odfajkowaną w katalogu. Chodził przecież po naszym grodzie żywe źródło takich anegdot — Hendryk, gaworzy o nich wzdziecnie ze środy na piątek, aż szkoda, że gazetowy papier nie na długo zatrzymuje te archylozkie wspominki.

Żeby powstała z tego książeczka. Nieduża, miła oku i ręce, w ładnej okładce, ale tania i portatywna. Pełna dowcipnych rysunków i bardzo prostych planów sytuacyjnych. Prawie bez statystyk i chyba z niewieloma zdjęciami, bo w takim zmniejszeniu i tak nie na nich nie widać, lepsze rysunki. Żeby tekst nie tylko dawał się zapamiętać, ale żeby wręcz zmuszał do zapamiętania, żeby był tego wart w oczach zwykłego łodzianina, który bardzo chce i bardzo lubi być zadowolony ze swego miasta. Żeby — jednym słowem — powstał nareszcie dobry, a nie przejawiany, turystyczny, „dla ludzi” Przewodnik po Łodzi — tego jej życzyć w dwudziestą rocznicę naprawdę wolnego istnienia.

CWIEK